



**LESZEK MOCZULSKI**

**U PROGU  
NIEPODLEGŁOŚCI**

**2 część**

**Rewolucji bez rewolucji**

**WARSZAWA '90**



# U progu niepodległości. Revolucji bez rewolucji ciąg dalszy<sup>1</sup> (1990)

## Spis treści

Przedmowa .....	3
I. Zahamowanie i jego przyczyny .....	3
1. Szansa, która ucieka .....	3
2. Małość ludzi, czy małość polityki? .....	4
3. Tylko wyobrażalne jest możliwe .....	6
4. Nie potrafili, czy nie chcieli? .....	7
II. Co się stało w Polsce? .....	8
1. Stary ustroj i rewolucja .....	8
2. Sterowanie polityczne .....	II
3. Przeobrażenia polityczne .....	16
4. W słabnącym cieniu Rosji .....	24
III. Międzymorze .....	27
1. Nowa geopolityka .....	27
2. Determinanty cywilizacyjne .....	29
3. Wspólne zagrożenia .....	31
4. Groźne, nierealistyczne pomysły .....	32
5. Geopolityczny imperatyw: integracja .....	33
6. Ku jedności Europy .....	36
IV. Program dla Polski .....	38
1. Rekonstrukcja państwa .....	38
2. Między totalitaryzmem a demokracją .....	44
4. Na prawo - w gospodarce .....	51
5. Konieczność przełomu .....	56

<sup>1</sup> Tekst programowy, napisany z początkiem jesieni 1990 r., jeszcze przed ogłoszeniem wyborów prezydenckich, ale stanowiący podstawę programu wyborczego Leszka Moczulskiego w prezydenckiej kampanii wyborczej oraz programu KPN w wyborach 1991 r.



## Przedmowa

Gdzieś zimą, na przełomie 1974-75, w kilka osób napisaliśmy program, zapowiadający przejście nurtu niepodległościowego do jawnej działalności opozycyjnej. Zatyłłowaliśmy go „U progu”. Mieliśmy świadomość, że pękają satelickie skorupy, skuwające Polskę, że nadchodzi czas przemian, stymulowany otwartym politycznym działaniem, czas w którym wszystko rozpocznie awangarda, ale wcześniej czy później ruszy całe społeczeństwo. Byliśmy też świadomi, że kruszenie kajdan będzie trwało lata, że Polacy będą dojrzewali dość długo, a początkowo powszechne poparcie zyskają cele ograniczone. Ale wiedzieliśmy, że czas doraźnych programów się skończy i otworzą szersze perspektywy; wiedzieliśmy, że nadejdzie moment, w którym najbliższym zadaniem będzie odbudowa niepodległej Rzeczypospolitej. Marzyliśmy o tej chwili - bo musiała nadejść.

Wiosną 1979 r., gdy Polska czekała na przyjazd swojego Papieża, napisałem broszurę zatytułowaną „Rewolucja bez rewolucji”. Czuć już było pierwsze porywy burzy. Montowaliśmy gorączkowo Konfederację, tak aby zdążyła okrzepnąć przed wielkim wybuchem społecznym, ale i przed spodziewanymi represjami, które miały na nas spaść. Fragmentem tych przygotowań była właśnie „Rewolucja bez rewolucji”, zawierająca w sobie - jak to ktoś później napisał - plan operacyjny nadchodzącego wybuchu społecznego. Ale nie tylko. Zarysowałem tam drogę do niepodległości, dzieląc ją na pięć faz. Przedostatnia nazywała się: dwuwładza.

Dziś żyjemy w tej właśnie fazie. Dwuwładza, występująca w Sejmie, w rządzie, w aparacie państwowym i gospodarczym skrywa się wprawdzie tak jak potrafi, lecz ujawnia w reformatorskiej symbiozie starych i nowych, istnieje. Więc jesteśmy w tej fazie - przedostatniej.

## I. Zahamowanie i jego przyczyny

### 1. Szansa, która ucieka

Mur jeszcze stał. W październiku 1989 r., byłem w Berlinie Zachodnim; opowiadałem, co się dzieje w Polsce, a mój berliński rozmówca stwierdził krótko: gdybyśmy byli tacy jak Polacy, ten mur zostałby rozniesiony na strzępy. Inni Niemcy kiwali głowami. Lawina jeszcze nie ruszyła, choć było czuć, że ziemia drży.

Tamtej jesieni wielkie nadzieje jaśniały przed Polską. Po dziesięciu latach samotnej walki przełamaliśmy opór systemu. Czerwcowe zwycięstwo wyborcze zaowocowało rządem Mazowieckiego. Solidarnościowa ekipa przejmowała ster kraju, mając pełne poparcie społeczne i całkowitą swobodę działania. Zablokowany wewnątrz ZSRR stał się biernym obserwatorem polskich wydarzeń, komunistyczne elity PRL zostały porażone szokiem klęski. Wszystko otwierało się przed nami.

Przede wszystkim - byliśmy pierwsi. To olbrzymi atut, otwierający ogromne możliwości. Te największe: mogliśmy poprowadzić przemiany w całej naszej części Europy, przesądając o kształcie jej przyszłej rzeczywistości politycznej. A wśród mniejszych chociażby zapewnienie sobie pomocy gospodarczej, dopóki byliśmy jedyni. Polska wysunęła się na pierwszy plan sceny politycznej świata i można to było łatwo zdyskontować.



Przede wszystkim - byliśmy w uderzeniu. Poruszone, gwałtownie rozfalowane społeczeństwo, nagle obudzone wielkie nadzieje. Wszystko wydawało się możliwe - i było możliwe. Z jak wielką łatwością KPN blokowało tamtej jesieni komitety PZPR; nie byli w stanie stawić najmniejszego oporu. Nikomu, a zwłaszcza nowej władzy. Radykalne, całościowe zmiany wymagały tylko decyzji; mogły one łatwo stworzyć zupełnie nowe państwo. Było aż nadto siły społecznej, aby osiągnąć wszystko. Osiągając kolejne cele, siły społecznej przybywało. Trzeba było tylko pójść za ciosem, do przodu.  
 Tamtej jesieni Polska stanęła w miejscu.  
 Dlaczego?

## 2. Małość ludzi, czy małość polityki?

Często tak się zdarzało, że szansa, łaskawie stworzona nam przez historię, pozostawała niewyzyskaną możliwością. Gani się za to później przywódców, gani naród. Całe wielkie dzieło - niedokończone niestety - „Powstanie narodu polskiego” Maurycyego Mochnackiego, jest wielkim oskarżeniem Polaków za zmarnowaną szansę. Czy jednak politycy i generałowie Powstania Listopadowego, którzy przeżyli klęskę wielkiego Napoleona w wojnie z Rosją - zdolni byli uwierzyć, że oni z tą samą Rosją zwyciężą? Czy ówcześni Polacy, którzy w ciągu poprzednich sześćdziesięciu lat przeżyli klęski Konfederacji Barskiej, wojny w obronie Konstytucji Majowej, Insurekcji Kościuszkowskiej i napoleońskiej wyprawy na Moskwę - mogli uznać zwycięstwo za realnie możliwe? Józef Piłsudski wspomina, że gdy 6 sierpnia 1914 r. wyruszał z krakowskich Oleandrów, aby wzniecić powstanie w Polsce, nie wiedział, czy nie idzie ku kolejnej klęsce. A jednak wyruszył, choć był w stanie skupić wokół siebie ledwo paruset ludzi. W tym samym czasie miliony Polaków posłusznie spełniało rozkazy swych cesarzy.

Szansę, które pojawiają się przed nami, zderzają się z doświadczeniami żyjących pokoleń. Kompleks klęski i kompleks Jałty ciąży nad Polską. Klęski, bo żywe doświadczenie ostatniego pół wieku zdaje się dowodzić, że nasze wysiłki pozbawione są sensu i doprowadzają do jeszcze większych nieszczęść; bo jesteśmy zbyt słabi, aby zwyciężyć, zaś dopominając się tego, co się nam należy - tracimy to, co jeszcze posiadamy. Kompleks Jałty, bo żywe są społeczne obawy, że możni sprzymierzeńcy wykorzystają nas - i sprzedadzą. Z tych kompleksów płynie chęć zadawalania się tym, co uzyskaliśmy - i obawa, że jeśli będziemy chcieli więcej, możemy wszystko utracić. W młodszej części społeczeństwa, po części z racji typowej dla niej dynamiki, po części z braku bezpośrednich doświadczeń historycznych - te urazy i kompleksy są wyraźnie słabsze; dlatego wkraczająca w życie publiczne generacja jest prawie zawsze głównym motorem przemian. Przywódcy na ogół wywodzą się ze starszego pokolenia; to często powoduje, że zamiast wyprzedzać innych, hamują.

Trudno, mimo wszystko, dziwić się, że ludzie, którzy objęli jesienią 1990 ster rządów nad krajem, nie chcieli iść za ciosem. Po pierwsze, nie oni ten cios zadali, lecz buntująca się część społeczeństwa, która rok wcześniej - z końcem lata 1988 - doprowadziła Polskę niemalże do krawędzi otwartej rewolucji; oni tylko tę groźbę zdyskontowali, zresztą w zminimalizowanym rozmiarze. Po drugie, nie mogli oderwać się od własnych doświadczeń przeszłości. Przynajmniej większość z nich.



Premier pierwszego po wojnie niezależnego rządu, zaczął czynnie uczestniczyć w życiu politycznym zaraz po klęsce i Jałcie. Prawie cała jego polityczna biografia wypełniona jest wysiłkami zmierzającymi do uzyskania lub poszerzenia koncesji: skromnego miejsca dla politycznych formacji katolicyzmu polskiego w potężnym systemie totalitarnym i ateistycznym. Należał do tych, którzy pragnęli ocalić jakąś enklawę wśród ogólnej katastrofy; raczej relikw, niż przyczółek. To dążenie, zapewne, doprowadziło w latach pięćdziesiątych Tadeusza Mazowieckiego do prorządowego PAX, a nie w stronę niezłomnego Kardynała Prymasa, zaś w latach sześćdziesiątych kazało mu zająć miejsce w Sejmie PRL z nominacji niejakiego Zenona Kliszko. Dziesiątki lat nauki, że jest się słabym i trzeba zadawałać się małym, jakie silny daje. Nauki o wszechwładzy PZPR i potędze ZSRR. Czy więc dziwić się należy, że jadąc do Gdańska w sierpniu 1980, za aprobatą władz, zamierzał przekonać strajkujących stoczniovców, aby zrezygnowali z „mrzonek” o wolnych związkach zawodowych, co mu się zresztą („na szczęście” - jak sam napisał) nie udało; że, internowany w grudniu 1981 r. i przewożony w asyście bezpieczeństwa w nieznanym kierunku, obawiał się, że zostanie wydany Rosjanom. Wbrew rzeczywistości wierzył, że tak jak kilkadziesiąt lat wcześniej, Moskwa jest nadal wszechpotężna i zdolna do wszystkiego, także do zsyłania Polaków na Syberię. Czy wyzbył się tego przekonania, gdy jesienią 1989 pojechał do Moskwy po swoistą akceptację Kremla? Nie wierzy w zagrożenie niemieckie; dał temu wyraz, gdy przyjmował kanclerza Kohla w Krzyżowej; optuje za pozostaniem wojsk radzieckich w Polsce, nawet wtedy, gdy ich przednia rubież przesunie się z Łaby na Odrę.

To premier; a ekipa wokół niego? Młody jeszcze, lecz stary historycznym doświadczeniem minister polityki wewnętrznej, który w 1983 r. stracił wiarę w podtrzymywanie podziemnej „Solidarności” i wycofał się; który w redagowanym przez siebie piśmie podziemnym zamieścił artykuł o konieczności uzależnienia Polski od Moskwy. Minister polityki zagranicznej, któremu przez dziesiątki lat wystarczała autonomia intelektualna, a do życia politycznego wszedł na dobre, przyjmując funkcję członka Rady Konsultacyjnej przy premierze - „administratorze stanu wojennego”. Minister gospodarki, wyrosły z kuźni kadr gospodarki planowej; minister kultury, ściana z artystycznego tournée po Syberii; szef radia i telewizji, najskuteczniejszy w ostatnich dziesięcioleciach propagator kultury rosyjskiej w Polsce.

Nie jest to ekipa, która mogłaby pójść za ciosem. Zapewne główną trudnością, przed którą stanęła, było uświadomienie sobie, że to oni rządzą. że już nie muszą korzystać z koncesji, że wyszli z relikwowej enklawy - że to oni mają w ręku władzę. A może jednak uważali, że dostali tylko koncesję na rządzenie i muszą bardzo starać się, aby jej nie utracić?

Wielka polityka rodzi wielkich ludzi; przyziemne poszukiwanie miejsca dla siebie, marzenia o kompromisie - a nie o zwycięstwie - tworzą polityków skromniejszego formatu. Przede wszystkim jednak - to kwestia charakteru. Jeśli nie wystarcza go na sięganie po wszystko, pozostanie ubieganie się o mało, obrona tego, co już dano. Wtedy wielkie szanse muszą pozostać wśród niezrealizowanych możliwości.

W rządzącej grupie znaleźli się jednak ludzie, którzy nie uginali się przed władzą; dziesiątki lat opozycyjnej działalności, lata więzień są tego wystarczającym dowodem. Jednak oni również nie potrafili wykorzystać szansy.



### 3. Tylko wyobrażalne jest możliwe

Zapamiętałem dokładnie dwie rozmowy z człowiekiem mądrym i odważnym, którego lubię i szanuję, choć dzielą nas wielkie różnice polityczne. Pierwsza z tych rozmów odbyła się w więzieniu mokotowskim, w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1980 r. Usłyszeliśmy z oddali strzępy Dziennika Telewizyjnego, wystarczające, aby domyślić się, że właśnie w Gdańsku zostało zawarte porozumienie. Prawie całą noc spieraliśmy się, jaka może być treść tego porozumienia. Mój współtowarzysz był przeświadczony, że rząd nie zgodził się na utworzenie niezależnych związków zawodowych - i żadne argumenty do niego nie trafiały. Osiem lat później, na przełomie listopada i grudnia 1988 r. spotkaliśmy się na jakimś panelu; ponieważ Wałęsa wyznaczył go był do uzgodnienia szczegółów technicznych telewizyjnego pojedynku z Miodowiczem, zapytałem, jak przebiegają rozmowy. „Leszek, nie bądź dzieckiem - odpowiedział - czerwony nigdy nie dopuści Lecha do telewizora”.

Domyślam się, jak trudno jest prowadzić politykę w okolicznościach, które uważało się za całkowicie niemożliwe. Ludzie, którzy nie wierzyli, że mogą powstać niezależne związki zawodowe, musieli mieć szczególne trudności, aby kierować potem „Solidarnością” i móc uchronić ją przed 13 grudnia. Jeśli nie wierzono, że Wałęsa wystąpi w telewizji, przejęcie rządu musiało wydawać się czymś nierzeczywistym. Szeroki opis przyczyn niewykorzystania szans, jakie pojawiły się w 1989 r. - przeczytać można w broszurze „Krajobraz po bitwie”, opublikowanej przez Jacka Kuronia jesienią 1987 r.; wszystko zostało przegrane - brzmiał jej tenor - i trzeba ratować, co jeszcze można. Jeśli w 1987 r. uratować można było tak mało, to w jaki sposób rok czy dwa później - sięgać po wszystko?

Zaskoczenie przebiegiem wydarzeń blokuje możliwości ich wykorzystania. Gdy, jedno po drugim, stawało się faktem to, co jeszcze wczoraj wydawało się niemożliwe - rozmowy z rządem, przywrócenie „Solidarności”, uczestnictwo w wyborach (i ich wygranie), zadecydowanie o wyborze prezydenta, przejęcie steru rządu - przynajmniej u niektórych osób musiało wytwarzać się wrażenie, że wszystko dzieje się w jakimś nierzeczywistym śnie, i że w każdej chwili może nastąpić przykre przebudzenie. Wydarzenia zaczęły toczyć się jakby same z siebie, wyprzedzając zamiary aktorów. Zupełnie usprawiedliwione wydało się wówczas powstrzymanie ich, choćby tylko po to, aby zorientować się w sytuacji. A także obawa, że jeśli pójdziemy jeszcze o krok dalej - wszystko, co tak niespodziewanie zostało uzyskane, może być stracone. Stąd już bardzo blisko do ostrego hamowania przemian, zatrzymywania ich za wszelką cenę, niezależnie od istniejących warunków, jedynie dlatego, że poszły dalej, niż politycy potrafili przewidzieć.

Aby coś osiągnąć, trzeba to sobie najpierw wyobrazić. Jeśli niewyobrażalne staje się faktem, wydarzenia zaczynają nieść ludzi, a nie ludzie tworzą wydarzenia. Jest to stan, w którym nie można wykorzystać szans, decyzje są spóźnione, a efekty jedynie częściowe. Taka sytuacja wytworzyła się w Polsce, gdy pod presją wzbierającej eksplozji społecznej system totalitarny zaczął się gwałtownie rozpadać.

Brak wyobraźni politycznej wystąpił jednak nie tylko w elicie przywódczej głównej siły politycznej w Polsce, jaką była wówczas „Solidarność”. Jest on charakterystyczny dla większości społeczeństwa. Prowadzi to do powstrzymywania świadomych, aktywnych działań, do zamieszania politycznego, niemożności wybierania.



#### 4. Nie potrafili, czy nie chcieli?

Gdy piszę te słowa, zaognia się coraz bardziej spór o to, kto będzie prezydentem. Ponieważ sama rozgrywka personalna stałaby się szybko żalosna, nadaje się jej charakter programowy: jedna strona domaga się przyspieszenia, druga opowiada za solidną powolnością. Nie do reszty wiadomo tylko, co i po co przyspieszać albo nie; co zamierza osiągnąć kandydat na prezydenta i w jaki sposób. Mniej bowiem ważne jest, kto zostanie prezydentem; kluczową kwestią jest, czym będzie Polska.

Zaskakuje ubóstwo naszej polityki. Brakuje w niej wielkich koncepcji i porywających perspektyw, ale przede wszystkim brakuje konkretnych odpowiedzi na bardzo proste pytania: ku czemu - i jak - powinniśmy zmierzać. Wszystko tonie w swoistym bełkocie, pełnym powtarzających się słów: demokracja, gospodarka rynkowa, pluralizm, tolerancja, otwarcie, przemiana. W różnych ustach słowa te znaczą co innego, ale zbudowane z nich zdania - coraz częściej nic.

Nie zawsze wynika to z nieporadności językowej, albo braku myśli godnej przedstawienia. Często ten polityczno-propagandowy bełkot ma na celu zwykle ukrycie, o co naprawdę chodzi. Nie wszystkie programy nadają się bowiem do ujawnienia przed społeczeństwem.

Zastanówmy się: czy istnieją w Polsce ludzie, którzy pragnęliby, aby wszystko wróciło do starego? Na pewno są, na pewno biorą udział w życiu politycznym. Ze zrozumiałych względów nie chcą jednak ujawnić, do czego dążą. Swe cele przykrywają stekiem ogólników. Ale nie rezygnują z ich osiągnięcia. Koncepcja przywrócenia totalitarnej PZPR istnieje w polskim życiu politycznym, lecz nie ujawnia się publicznie.

Takich i podobnych koncepcji jest więcej. Wskażmy na niektóre.

Koncepcja reformy ustroju socjalistycznego. Rezygnuje ona ze zwykłego przywrócenia starego systemu, pragnąc przeobrazić go w taki sposób, aby zachowując swoją istotę, stał się bardziej skuteczny. Odmianą tej koncepcji jest dążenie do takiej reformy gospodarczej, która w szerokim stopniu wprowadzi mechanizmy rynkowe i przyczyni się do znacznego zwiększenia efektywności gospodarowania, a równocześnie zachowa kluczowe filary dotychczasowego ustroju: dominację własności państwowej („uspołecznionej”), monopolistyczną strukturę gospodarki oraz zarządzanie nią przez rząd.

Koncepcja sojuszu elit - dawnej PZPR-owskiej i nowej, wywodzącej się z opozycji. Współdziałając z sobą, obie te elity mogą liczyć na to, że utrzymają władzę nad Polską i zawsze będą w stanie narzucić swą wolę społeczeństwu. Szczególną odmianą tej koncepcji może być powrót do układów sprzed 1967 r.: dwie frakcje działające w szeroko pojętym, internacjonalistycznym ruchu lewicy socjalistycznej, które wystąpiły wówczas przeciwko sobie, wracają do utraconej jedności.

Koncepcja zamiany elit. Na miejsce dotychczasowych elit, które okazały się niezdolne aby rządzić krajem, wejdzie nowa elita, o wiele bardziej dynamiczna, zdolna do pozyskiwania zaufania społecznego, będąca w stanie rządzić Polakami w warunkach pozorowanej demokracji. Nie wymaga to istotnych zmian w charakterze państwa, gospodarki itd - wystarczyć ma zmiana rządzących.

Koncepcja obozowej pierestrojki. Jej filarem jest przekonanie, że przemiany dokonujące się w Polsce, oraz w innych krajach bloku moskiewskiego, są częścią szerszego procesu przebudowy, obejmującego cały obóz. Reformująca cały obóz pierestrojka ma doprowadzić do nadania mu nowego, demokratycznego oblicza. Sam



obóz jest bowiem dobry, był tylko źle zarządzony. Zeskorupiały dawny system zostanie zastąpiony nowym, przyjaznym ludziom. Zapanuje swoboda i dobrobyt - uda się zrealizować stare marzenie o nowym, wspaniałym świecie. Wyjście z obozu o tak świetnych perspektywach byłoby głupotą, a więc trzeba utrzymać trwałą przynależność Polski do niego - i naszą zależność od Moskwy. Odmianą tej koncepcji jest odgrzewany stary program Dmowskiego: malutka Polska musi się chronić pod opieką wielkiej Rosji; można to już czynić, bo rosyjski komunizm się rozsypał.

Koncepcja postępowo-demokratycznej Europy. Obecnie siły lewicowe w Europie Zachodniej są zbyt słabe, aby zapewnić sobie trwałe rządy nad Wspólnotą Zachodnio Europejską. Poszerzenie Wspólnoty o kraje środkowej i wschodniej Europy, których społeczeństwa przyzwyczyły się do życia w socjalizmie, może zapewnić lewicy władztwo nad Europą. Wprawdzie odbędzie się to kosztem uzależnienia ekonomicznego krajów biedniejszych od bogatszych, a więc wymierzone jest w interesy narodowe naszej strefy, ale za to służy międzynarodowym rzecznikom lewicowych ugrupowań politycznych i pozwala im wprowadzać swe założenia ideowe na całym kontynencie.

Koncepcja rządów mędrców. Ponieważ społeczeństwo polskie, zdaniem zwolenników tej koncepcji, nie potrafi samo się rządzić, należy - przy zachowaniu pozorów demokracji, zapewnić trwałe władztwo nad krajem względnie nielicznej grupie ludzi mądrych. Ta swoista arystokracja intelektu powinna sama kierować krajem, ponieważ tylko ona jest zdolna mądrze poprowadzić wszystkie sprawy i zapewnić optymalne warunki bytowania Polakom - czyli uczynić wszystko to, do czego samo społeczeństwo nie jest zdolne. Odmianą tej koncepcji jest pogląd, że w narodzie polskim tkwią jakieś ciemne siły, atawistyczne fobie i prymitywne instynkty; zadaniem światłych rządzących jest te nieszczęsne skłonności okiełznać; oddanie władzy w ręce Polaków grozi wybuchem ciemnoty, nietolerancji, szowinizmu i wszystkiego najgorszego.

Ani jedna z tych koncepcji nie wymaga dla swej realizacji niepodległości Polski; dla niektórych z nich niepodległość jest największym zagrożeniem. Ani jedna nie wymaga wprowadzenia rzeczywistej demokracji; przeciwnie - jest ona dla nich wielką przeszkodą. Ani jedna z tych koncepcji nie wymaga całkowitego odejścia od socjalistycznego systemu gospodarki. Ani jedna nie wymaga szybkich i radykalnych zmian. Wszystkie dążą do okiełznania, a przynajmniej obłaskawienia i zahamowania naporu społecznego. Nie są to koncepcje wykorzystania szans, jakie otworzyły się przed Polską - lecz ograniczenia przemian, zatrzymania ich w pół drogi.

## **II. Co się stało w Polsce?**

### **1. Stary ustrój i rewolucja**

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie wiadomo, jak to się stało - napisał pewien wybitny publicysta. Czy rzeczywiście tak szybko, i czy rzeczywiście nie wiadomo jak? W istocie mechanika procesu, jaki przeżywaliśmy, była bardzo prosta: potężniejszą presją społeczną na coraz słabsze struktury starego systemu. Napór ten istniał przez całą historię PRL, jedynie w szczytowych latach stalinizmu został prawie całkowicie zduszony przez krwawy terror. W połowie lat pięćdziesiątych presja społeczna ożywa i jej siła rośnie z dziesięciolecia na dziesięciolecie. Kilkakrotnie



doprowadza to do wybuchów; mimo iż komunistom udawało się opanować sytuację, każdy z tych wybuchów oznaczał umocnienie się społeczeństwa i osłabienie totalitarnego państwa. W okresach względnego spokoju napór wcale nie zanikał, występował tylko w innych formach; był bardziej bierny, ale miał też większą siłę inercji. Długo jednak siła oporu struktury totalitarnej była większa od siły naporu społecznego, co pozwalało władzom pacyfikować wystąpienia społeczne i pozornie utrzymywać poprzedni stan rzeczy.

Zmieniło się to w 1980 r. Siła eksplozji społecznej, rozpoczętej w lipcu, która swe apogeum osiągnęła w sierpniu i wrześniu - okazała się tak wielka, że rząd nie dał rady jej okiełznać i został zmuszony do poważnych ustępstw. Szybki rozwój „Solidarności”, co było przejawem coraz potężniejszego naporu społecznego, doprowadził w połowie 1981 r. do niemal całkowitego załamania się systemu komunistycznego. Osłabienie tego naporu, które zarysowało się w ostatnich miesiącach 1981 r., a które spowodowane było po części narzuceniem „Solidarności” programu samoograniczania się, a po części umiejętną taktyką kierownictwa PZPR - pozwoliło władzom przejść do kontrataku 13 grudnia.

Celem stanu wojennego, co bardzo wyraźnie powiedział Jaruzelski, było rozbicie wszystkich niezależnych od władzy struktur i ponowne podporządkowanie społeczeństwa komunistycznej władzy; chodziło o przywrócenie sytuacji sprzed wybuchu, co udało się komunistom zarówno w 1956, jak w 1970 i 1976. Polacy nie dali się jednak rzucić na kolana. Mimo operacyjnego powodzenia i rozbicia ośrodków oporu czy protestu, stan wojenny bardzo szybko osiadł na mieliźnie. Nie powtórzyło się to, co miało miejsce jeszcze w 1976 r., a mianowicie, że po zdławieniu wybuchu społeczeństwo biernie podporządkowało się władzy i pozwoliło sobą nadal kierować. Rządzenie polega na tym, że władza stymuluje i ukierunkowuje społeczną aktywność; po wszystkich buntach i rewoltach w PRL, komuniści zachowywali zdolność do takiego rządzenia. W roku 1982 okazało się, że ją stracili. Społeczeństwo ugięło się przed siłą; czynne wystąpienia przeciwko stanowi wojennemu, silne na wiosnę i latem, w jesieni zaczęły gwałtownie słabnąć. Równocześnie jednak okazało się, że władza nie jest zdolna ani stymulować aktywności społecznej, ani nią pokierować; mogła, głównie środkami policyjnymi, nie dopuścić do niechcianych przez nią form aktywności społecznej, ale nie mogła wywoływać aktywności jej potrzebnej. Zjawisko to jeszcze silniej wystąpiło w roku 1983, nabierając charakteru trwałego. Oznaczało to, że komuniści stracili możliwość rzeczywistego rządzenia Polską. Na tym polegała klęska stanu wojennego. Posiadali jedynie możliwość utrzymywania Polaków w ryzach przy pomocy represji policyjnych. Stworzyło to stan pozornej równowagi. Społeczeństwo, po gorzkich porażkach stanu wojennego i masowych represjach (co najmniej 50 tysięcy ludzi przeszło przez więzienia i obozy internowanych) zachowywało ostrożną bierność; władze nie były w stanie rządzić i ograniczały się do utrzymania stanu bezruchu. Brak rzeczywistego rządu, bo funkcjonowała jedynie władza policyjna, doprowadził do szybkiego załamania się wszystkich struktur totalitarnego państwa, a zwłaszcza gospodarki. Zaczął się ostateczny rozpad systemu. Każdy wysiłek rządu, aby go powstrzymać, co wymagało pobudzenia aktywności społecznej, kończył się niepowodzeniem.

Pasywność społeczna nie może jednak trwać wiecznie. W miarę jak słabły psychospołeczne skutki stanu wojennego i ujawniała się bezsilność władzy, powstawała sytuacja, pozwalająca na wznowienie czynnej presji społecznej.



Przełomem stał się kwietniowo-majowy 1988 r. strajk w Nowej Hucie, który pociągnął za sobą podobne wystąpienia w innych ośrodkach. Po tym pierwszym podmuchu przyszedł drugi - lipcowe strajki w górnośląskich kopalniach. Wreszcie w drugiej połowie sierpnia zaczął się Wielki Strajk: stocznie, węgiel. Jeszcze chwila, a stałaby cała Polska. Eksplozja społeczna, potężniejsza niż ta z 1980, a zapewne o wiele bardziej brutalna, była już na progu. Skutki jej były łatwe do przewidzenia: rozpadające się struktury totalitarnej władzy zostałyby po prostu zdmuchnięte. Najskromniejszą z możliwości było to, co rok później nastąpiło w NRD i Czechosłowacji: całkowity przewrót polityczny, pełne odsunięcie komunistów od władzy, uwięzienie przywódców, może surowe wyroki.

Rządząca ekipa znalazła jednak ratunek; był nim głęboki odwrót. Bardzo głęboki, znacznie głębszy niż początkowo przypuszczano. Zagrożony wybuchem rewolucji rząd rozpoczął rozmowy z „Solidarnością”, co uspokoiło zewnętrznie sytuację, ale nie zlikwidowało groźby. Konieczne były konkretne ustępstwa. Gdy rozpoczęły się rozmowy „Okrągłego Stołu”, przywódcy PZPR zapewne przypuszczali, że wystarczy zgoda na odbudowę „Solidarności”, pozbawionej prawa do strajku. Już w trakcie negocjacji okazało się, że jest to zbyt mało; system państwowy trzeszczał, rząd Rakowskiego był bezradny, podejmowane decyzje pozostawały bez następstw. Zgodzono się więc na wybory, aby „Solidarność” weszła do Sejmu, tym samym przejmując współodpowiedzialność za rozpadające się państwo. Wybory okazały się jednak nokautującą klęską komunistów. W tym momencie utracili oni niemal całkowicie kontrolę nad wydarzeniami. Wybory prezydenckie zakończyłyby się kolejną klęską, gdyby nie szefowie OKP, którzy w ostatniej chwili umożliwili wybór Jaruzelskiego na Prezydenta. PZPR nie był już jednak w stanie sformować rządu, a gdy zamierzał uczynić to wspólnie z lewicowym skrzydłem Komitetu Obywatelskiego, wniósł się Wałęsa, doprowadzając do utworzenia gabinetu Mazowieckiego. Wydarzenia lata i jesieni były prawdziwym szokiem dla dotychczasowych elit władzy i sparaliżowały całkowicie wszystkie struktury polityczne i państwowe starego regime'u. Główna jego siła - PZPR - okazała się bezbronna. Jesienne akcje młodzieżówek KPN, które zajęły łącznie ok. 120 gmachów partyjnych - wykazały, że wszechmocna niedawno „siła przewodnia” nie jest w stanie nawet bronić samej siebie. W tych warunkach, z początkiem 1990 r. PZPR przestała istnieć.

Ustępstwa przerodziły się w klęskę. Ale nie całkowitą. W przeciwieństwie do Niemiec Wschodnich, Czechosłowacji czy Węgier, rzecznicy starego ustroju zachowali w Polsce względnie mocną pozycję. Są najsilniejszą grupą w Sejmie, dysponują urzędem Prezydenta o bardzo szerokich prerogatywach, mają ministrów w rządzie, w poważnej mierze dawna nomenklatura zarządza gospodarką i administracją państwową. Na miejsce PZPR powstała Socjaldemokracja, dysponująca liczną i doświadczoną kadrami, wpływami i zwłaszcza ogromnym majątkiem dawnej partii. Utrzymane zostały więzy zależności od ZSRR, Polska pozostała członkiem Paktu Warszawskiego i RWPG, na terytorium kraju stacjonują wojska radzieckie. Uniknięto rozliczeń i pociągnięcia do odpowiedzialności winnych - a tym samym zapewniono bezpieczeństwo, a w poważnym stopniu majątkową dominację dawnym komunistycznym elitom władzy. Oddając rządy, uchroniły one swe istnienie, zachowały uprzywilejowaną pozycję i kontrolę nad państwem. Dlatego, gdy minął szok 1989 r., „Wczorajsi” zaczęli pokazywać pazury. Dowiodły tego wybory komunalne z maja 1990 r., a zwłaszcza zachowanie się Parlamentarnego Klubu Lewicy



Demokratycznej - b. PZPR - w Sejmie. Otrząsając się z klęski, szykują się oni do politycznego kontrataku. Jeśli nawet w najbliższej przyszłości nic takiego nie nastąpi, można powiedzieć, że manewr Magdaleny mimo wszystko powiódł się; „Wczorajsi” ocaleli, a jeśli przetrwają jakiś czas, utrzymując swe podstawowe pozycje, odzyskają szanse powrotu do władzy.

## 2. Sterowanie polityczne

Napór społeczny, który ostatecznie rozbił totalitarne państwo, był procesem żywiołowym, a więc w poważnej mierze nieświadomym i nie kierowanym. Bardzo długo sterowanie polityczne było w rękach tylko jednej strony - przywódców PZPR. Mniej czy bardziej udatnie wpływali oni na rozwój sytuacji, powstrzymując wyraźniejsze objawy wzburzenia społecznego, a gdy do nich dochodziło, stosując mieszane taktyki siły i ustępstw, doprowadzali do stabilizacji. Była to polityka oparta na różnych formach terroru (fizycznego, moralnego, intelektualnego), na manipulacji i rozbudowanej socjotechnice. Brakowało jej kręgosłupa i jasno wytyczonych celów; jeśli nawet istniały one w latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych, to całkowicie rozplynęły się. Brakowało też wyobraźni politycznej. Gdy ustroje komunistyczne przetrwały wielki kryzys z połowy lat pięćdziesiątych, straciły wprawdzie motywację ideową, ale tym bardziej uwierzyły w swoją trwałość. Nie potrafiono zobaczyć kierunku procesu społecznego, nie potrafiono przewidzieć, co zdarzy się za rok i za dziesięć lat. Gdyby w 1981 r. ówczesne Biuro Polityczne było w stanie wyobrazić sobie przebieg rozpoczynającej się dekady, porozumienie „Okrągłego Stołu” można było zawrzeć już w końcu 1981 r.; ustępstwa byłyby znacznie mniejsze, wtedy na pewno nie groziło szybkie oddanie władzy. Wprawdzie przemiany nie zostałyby powstrzymane, a wydarzenia poszłyby dalej, lecz bez trudu można byłoby utrzymać je w granicach ustroju, adaptując czy też wsysając ruchy społeczne, a zwłaszcza ich przywódców do istniejącego systemu. Możliwości polityczne były znacznie większe; obejmując urząd premiera, Jaruzelski mógł stanąć na czele całego ruchu odnowy, którego główną siłą byłaby „Solidarność”, a obok niej partyjne struktury poziome, pragmatycy i technokraci. Była to szansa dla PRL i PZPR, choćby te nazwy trzeba było zmienić. Ślepotą polityczną kazała im zrobić 13 grudnia; w tym momencie upadek państwa totalitarnego, a nawet upadek totalitaryzmu w całej tej części Europy został przesądzony.

Działając bez jasnego celu, z ubogą wyobraźnią polityczną, w ramach zgubnej dla nich koncepcji, komuniści byli jednak taktycznie bardzo sprawni. Stąd brały się ich liczne sukcesy doraźne. W roku 1980 zdobyli się na głębokie ustępstwa, ratując własne istnienie i odzyskując swobodę działania. W 1981 r. potrafili z jednej strony skutecznie zablokować „Solidarność”, z drugiej zaś, wywołując zastępcze konflikty, ogałając rynek z towarów i stymulując wzrost przestępczości oraz ogólny bałagan - doprowadzili do zmęczenia społeczeństwa; prowokowane przez władze strajki pacyfikowane były przez „Solidarność”, a ludzie tracili orientację o co w tym wszystkim chodzi. Było do skutecznego, socjotechnicznego przygotowania stanu wojennego.

Równie sprawnie był pomyślany i przeprowadzony manewr „Okrągłego Stołu”. Ustępstwa, do których ostatecznie zobowiązała się władza, były o wiele mniejsze niż możliwe do uzyskania; choć potem wydarzenia potoczyły się raptownie, waląc wszystkie misterne plany, „Wczorajsi” potrafili działać w zmienionych



warunkach, skutecznie broniąc swojej pozycji polityczno-gospodarczej. Obok generalnej linii, polegającej na utrzymaniu węzłowych pozycji, zastosowano równoległe parę innych koncepcji. Widać wyraźnie, jak rozwija się plan „po nas potop” - tym łatwiejszy do realizowania, że wykonywany samorzutnie przez wielką ilość ludzi, rozstawionych w węzłowych punktach.

Bardzo długo na rozwój sytuacji politycznej nie wywierała wpływu druga strona; praktycznie aż do połowy lat siedemdziesiątych. Nie oznacza to, że w zarodkowych strukturach opozycji, czy raczej ruchu oporu, nie powstawały koncepcje polityczne, albo brakowało woli działania. Przypominam sobie doskonale plan, który wkrótce po Październiku 1956 r. przygotował płk Pluta-Czachowski - stary piłsudczyk, członek Komendy Głównej AK, jeden z przywódców konspiracyjnego nurtu niepodległościowego. Przewidywał on skupianie środowisk akowskich, złożonych wówczas z ludzi jeszcze młodych, nadawanie im politycznego, niepodległościowego charakteru i tworzenie bazy dla powołania jawnej opozycji. Niestety, plan ten nie trafiał w ówczesne szersze odczucia społeczne, a te wąskie grupy, zwłaszcza „Znak”, które decydowały się na podjęcie jawnej działalności politycznej, nie dopuszczały nawet myśli o możliwości wystąpienia przeciwko władzy; niepodzielnie panowała koncepcja grzecznego ubiegania się o koncesje. W tej sytuacji w nurcie niepodległościowym, przyjęta została opracowana przez gen. Romana Abrahama koncepcja „długiego marszu”. Również środowiska rewizjonistyczne, tworzące się wewnątrz PZPR, a następnie z niej usunięte, nie były w stanie podjąć liczącego się społecznie działania i wpłynąć na przebieg wydarzeń.

Jedyną taką próbą, w znacznej mierze przypadkową, był Marzec 1968 r. Natomiast główne wystąpienia społeczne - Powstanie Czerwcowe w Poznaniu i rewolta robotnicza na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. odbyły się bez żadnego, bezpośredniego wpływu opozycyjnych ośrodków politycznych. Przebiegły zresztą zbyt szybko, aby ówczesne załączkowe struktury opozycji były w stanie cokolwiek uczynić. Zmianę przyniósł dopiero rok 1976 r. W chwili, gdy doszło do czerwcowych wystąpień robotniczych, struktury opozycyjne ukształtowały się już na tyle, że przygotowywały się do rozpoczęcia jawnej działalności. Na przełomie 1975-76 doszło do otwartych wystąpień publicznych przeciwko zmianom w Konstytucji; obok stanowczego głosu Episkopatu i Prymasa Wyszyńskiego, pod kilkoma listami otwartymi podpisało się kilkaset osób, od lewicowych intelektualistów po przedstawicieli nurtu niepodległościowego, generałów Romana Abrahama i Mieczysława Boruty-Spiechowicza. Działający od kilku lat w ramach nurtu niepodległościowego Konwent kończył prace przygotowawcze nad powołaniem jawnej struktury opozycyjnej; wiosną 1976 r. formalnie zorganizowany został Techniczny Nurt Niepodległościowy, pomyślany jako podziemna baza dla jawnej działalności, zwłaszcza przygotowywanego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W tym samym mniej więcej czasie - w kwietniu 1976 r. zostaje opublikowany program drugiej struktury podziemnej - Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. Bardzo zaawansowane były też przygotowania w nurcie lewicowym, dla którego Adam Michnik wymyślił nazwę lewicy laickiej (w książce „Kościół, lewica, dialog”, napisanej w tym samym 1976 roku). Różne, zorganizowane ośrodki opozycyjne istniały już w Warszawie, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu. Nic więc dziwnego, że gdy władze brutalnie stłumiły czerwcowy bunt robotniczy, formująca się opozycja podjęła aktywne działania.



Represjonowanym w Radomiu pierwszej pomocy zaczęto udzielać z Lublina, w Ursusie - Warszawy; zaraz potem przyjęło to formy zorganizowane. Na fali wydarzeń powstał Komitet Obrony Robotników oraz ujawnił się Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela; wyrosły z nich następnie Studenckie Komitety Solidarności, Wolne Związki Zawodowe, Komitety Samoobrony Chłopskiej, ruchy polityczne: Ruch Wolnych Demokratów, Ruch Młodej Polski, Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów, wreszcie pierwsza niezależna partia polityczna - Konfederacja Polski Niepodległej. Rok 1980 przyniósł powstanie pierwszego masowego ruchu społecznego - NSZZ „Solidarność”; w jego ramach wykształciło się i wyrosło wiele różnych ugrupowań. Potrzeba więc było niespełna pięciu lat, aby jawnie działająca opozycja polityczna nie tylko powstała, lecz także zbudowała masowe struktury.

Równocześnie z tym zaczyna się rzeczywiste oddziaływanie ugrupowań niezależnych na przebieg procesów społecznych i politycznych w Polsce. W znacznej mierze jest to wpływ automatyczny, wynikający z samego faktu istnienia ośrodków opozycyjnych; samo utworzenie KOR i Ruchu Obrony nadało nowy kierunek wydarzeniom. Obok tego, w coraz silniejszym stopniu występuje bezpośredni wpływ programów i działań opozycji.

Wprawdzie trudno generalizować, gdyż opozycja od samego początku była różna w swym charakterze politycznym, programach i aktywności. Czołową pozycję od samego początku zajęła w niej tzw. opozycja reformatorska. Na jej lewym skrzydle uplasowała się silna grupa, wywodząca się z PZPR, która zerwała z antydemokratyczną linią partii; starsi jej działacze przeszli przez rewizjonizm i odeszli, lub zostali wyrzuceni. To właśnie ta grupa zdominowała Komitet Obrony Robotników. Bliska jej była grupa lewicy katolickiej, skupiona zwłaszcza w warszawskim KIK, dość długo współpracująca z władzą, lecz odepchnięta przez nią, gdy przestała być potrzebna; dość ostrożnie przechodząc w stronę opozycji, grupa ta, wspólnie z pozostałą, aktywnie tworzyła Towarzystwo Kursów Naukowych. Jeszcze mniej opozycyjna była grupa intelektualistów, w poważnej mierze członków PZPR, która utworzyła Konwersatorium „Doświadczenie i Postęp”. Te trzy grupy w jakiejś mierze złączyły się, zajmując dominującą pozycję w NSZZ „Solidarność”. Wszystkie te środowiska wyrosły w ramach, albo w cieniu PZPR lub koncesjonowanych przez nią struktur; zbuntowały się przeciwko niedemokratycznym metodom rządzenia, ale dążyły do zreformowania PRL, a nie rozbicia tego satelickiego państwa.

Ugrupowania reformatorskie od samego początku uzyskały czołową pozycję w opozycji demokratycznej, a następnie faktycznie stały się politycznym kierownictwem „Solidarności”; dopiero teraz, wraz z podziałem politycznym następującym w tym masowym ruchu, ich pozycja została poważnie zakwestionowana.

Druga część demokratycznej opozycji wywodziła się bezpośrednio, czy też ideowo z tzw. ugrupowań historycznych. Określenie jest absolutnie mylące. Ugrupowania te istniały w przeszłości, lecz nie dlatego zeszły ze sceny politycznej, że były relikdami przeszłości, lecz w efekcie krwawego terroru lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Były one wyrazem naturalnego zróżnicowania politycznego każdego normalnego społeczeństwa. Niektóre z nich przetrwały w szczątkowej formie w głębokiej konspiracji, po innych pozostały jedynie tradycja i programy; wszystkie miały swoją bazę społeczną. Wraz z odbudową jawnej opozycji, zaczęły się odtwarzać. Pierwsi byli piłsudczycy. Po wieloletnich przygotowaniach podziemnego nurtu niepodległościowego, to właśnie piłsudczycy stali się głównymi inicjatorami



powstania Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a następnie powołali KPN. O wiele bardziej nieśmiało wznawiał działania ruch narodowy, podzielony z czasem na różne ośrodki. Doszły do tego ruch ludowy, chrześcijańsko-demokratyczny oraz socjalistyczny, nawiązujący do tradycji niepodległościowej PPS. Wspólnie tworzyły układ polityczny, przypominający przedwojenny, a jeszcze bardziej okupacyjny, lecz będący wyrazem aktualnych przekonań występujących w społeczeństwie, a więc dzisiejszej potrzeby politycznej. Nie mając nic wspólnego ze strukturami politycznymi PRL, odrzucały program reformy; bardziej radykalne z tych ugrupowań wprost nawoływały do obalenia satelickiego państwa, bardziej umiarkowane traktowały je jako twór przejściowy, który i tak upadnie.

Początkowe stosunki między tymi dwoma częściami opozycji były nacechowane podejrzliwością, a nawet wrogością. Środowiska o genezie peerelowskiej wychowane zostały w przekonaniu, że ugrupowania historyczne są istotnym konglomeratem czarnej reakcji, zwierzęcego antykomunizmu i drapieżnego nacjonalizmu, prymitywizmu umysłowego i ciemnoty politycznej. Grupy odbudowujące normalne życie polityczne widziały natomiast w tamtych wykwit PRL, ośrodek zmierzający do uratowania systemu satelickiego, gotów do porozumienia się z dawnymi współtowarzyszami z PZPR czy FJN, a nade wszystko kontynuatorów struktury, która pod osłoną radzieckich bagnetów zniewoliła Polskę. W dodatku obie te formacje ścierały się z sobą mocno w latach sześćdziesiątych, tak ważnych dla uformowania przyszłych opozycyjnych elit; punktem sporu był katolicyzm i Kościół, stosunek do tradycji historycznej, kształt harcerstwa, stosunek do ZSRR i in.

Ugrupowania reformatorskie wywodziły się z elity społecznej PRL, co zapewniało im względne bezpieczeństwo polityczne (w zasadzie dopiero po 1968 zaczęli trafiać do więzień), możliwość uzyskania dobrego wykształcenia i wyjazdów zagranicznych, stosunkowo dobrą pozycję materialną; dochodziło do tego poparcie ze strony demokratyczno-lewicowych ośrodków zagranicznych i bardzo prężnej emigracji pomarcowej. Ponadto, z natury rzeczy, dysponowali bazą społeczną w postaci liczących się środowisk intelektualnych, wychowanych pod egidą PZPR, ale nie bardzo mieszczących się w wąskich ramach ustroju totalitarnego.

Środowiska wywodzące się z historycznych stronnictw lub formacji zaangażowanych w walkę o niepodległość, jak zwłaszcza AK, rozbijane tak krwawo przez pierwsze powojenne dziesięciolecie, były cały czas przedmiotem represji, a co najmniej dyskryminacji. Miały też świadomość, często przesadną, że za rewizjonizm wyrzuca się z PZPR, a za szykowanie obalenia ustroju można stracić życie. Po doświadczeniach lat pięćdziesiątych, cechowała je świadomość stałego zagrożenia, podsycana systematycznie nękającymi akcjami SB. Nie tylko status polityczny tych środowisk był niski, również ich położenie społeczne. Daleko im było do elity PRL, z reguły osiągnęli raczej niską pozycję materialną czy zawodową. W warunkach dwubiegunowej polityki, nie wychodzącej poza Jałtę, grupy te nie mogły uzyskać poparcia zagranicznego, jedynie sympatię w ubogich z reguły kręgach emigracji niepodległościowej. W swoich wspomnieniach „Wojna w eterze” Jan Nowak Jeziorański, wieloletni szef sekcji polskiej RWE przyznaje, że prowadził politykę popierania „dobrego komunisty”, później „dobrego ekskomunisty,; o antykomunistach milczano, jeśli wręcz nie ostrzegano przed nimi.

Ta różnica położenia pogłębiała rozbieżności między obiema częściami opozycji. Ugrupowania historyczne albo szły na całego, głosząc radykalny program,



albo - w obawie przed represjami ograniczały się do tzw. działań formacyjnych, wewnątrz wąskich środowisk. Natomiast ugrupowania reformatorskie, z przyczyn ideowych dalekie od negowania PRL, mogły rozwijać programy dość umiarkowane, znajdujące zrozumienie u bardziej dalekowzrocznych działaczy PZPR, a łatwiejsze do przyjęcia przez społeczeństwo, dość wolno aktywizujące się politycznie.

Podział występujący w opozycji, bardzo silny w połowie lat siedemdziesiątych, w małym tylko stopniu przygasł przed 13 grudnia; stan wojenny bardzo przyczynił się do wzajemnego zrozumienia tych, tak różnych, nurtów. „Solidarność”, ze swoim mrowiem młodych działaczy, a później generacje wchodzące w struktury polityczne w latach '80, w poważnej mierze przysłoniły różnice występujące w starszej opozycji. Ponieważ były one efektem obiektywnej rzeczywistości, a nie subiektywnych poglądów poszczególnych osób - te kluczowe różnice istnieją nadal, a mimo występującej w ostatnim dziesięcioleciu okresowo bliskiej nawet współpracy, nie należy ich lekceważyć. Do kwestii tej jeszcze wrócimy, omawiając współczesne układy polityczne.

Opozycja, podzielona tak ostro pod względem strukturalnym, programowym i możliwości materialnych - siłą rzeczy nie mogła jednolicie wpływać na zachowania społeczne. Zwłaszcza, że obok rzeczywistych podziałów merytorycznych, zbyt często do głosu dochodziły zwykłe animozje i partykularyzmy. Gdy powstał Komitet Obrony Robotników, wielu działaczy, związanych z innymi nurtami politycznymi, nie chciało w nim uczestniczyć. Gdy tworzył się Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, obie główne formacje opozycyjne nie potrafiły znaleźć wspólnego języka. Konsekwencje tego były bardzo poważne. Gdyby na samym początku udało się stworzyć jeden, wspólny i pluralistyczny ośrodek opozycyjny, wpływ jego na rozwój wydarzeń byłby nie tylko znacznie większy, ale i lepszy. Później różne inicjatywy nie były podejmowane tylko dlatego, że zainicjowała je druga grupa. Gdy w lutym 1978 powstała w ramach Ruchu Obrony pierwsza grupa Wolnych Związków Zawodowych - KOR uznał samą koncepcję tworzenia związków zawodowych za błędną i sprzeciwiał jej się aż do sierpnia 1980 r. Szczęśliwie część działaczy KOR na Wybrzeżu, z Bogdanem Borsewiczem i Andrzejem Gwiazdą, nie miała tych uprzedzeń i stworzyła gdański WZZ, bez czego nie byłoby zapewne „Solidarności”; o ile lepiej byłby przygotowany Sierpień, gdyby w tworzeniu WZZ uczestniczyły wszystkie ugrupowania. Sprawa jest zresztą szersza. W czerwcu 1979 r., w „Rewolucji bez rewolucji” przedstawiłem szczegółowy plan przekształcenia nadchodzącej eksplozji społecznej w strajki okupacyjne, które wymuszą na władzach zgodę na powołanie niezależnego ruchu robotniczego, związkowego bądź środowiskowego. „Rewolucja bez rewolucji” spotkała się jednak z bardzo ostrą krytyką ugrupowań reformatorskich; szczęśliwie Sierpień potoczył się wedle mojego scenariusza. Gdybyśmy wszyscy razem przygotowywali jego realizację, już w 1980 można byłoby osiągnąć znacznie więcej, może aż tyle, że udałoby się uniknąć stanu wojennego.

Ostrość podziałów i obustronne animozje wyraźnie zmniejszyły wpływ opozycji na przebieg wydarzeń, ale ostatecznie to nie one były główną przyczyną słabości politycznej, zwłaszcza ruchu „Solidarność”. W spotęgowanym stopniu wystąpiły te same słabości, które były typowe dla PZPR. A więc przede wszystkim brak wyraźnego celu działania. Wprawdzie przez całe lata celem takim, jednoczącym miliony ludzi, było przywrócenie „Solidarności”, ale ciągle nie ma wystarczającej odpowiedzi, po co „Solidarność” została powołana. Jeśli widzimy w niej tylko związek



zawodowy, co jest zresztą najwłaściwszym spojrzeniem, „Solidarność” powinna bronić interesów pracowniczych; skoro tak, czemu sięga po władzę polityczną i - już jako siła rządząca - realizuje programy, które są być może korzystne dla państwowego pracodawcy, ale nie pracownika. Widząc w „Solidarności” raczej ruch polityczny, niż związkowy, daje się jej za cel stworzenie pluralizmu, albo przyspieszenie reform - jakby nie dostrzegając, iż są to też tylko środki, które czemuś mają służyć. Czemu? - na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Ale zostawmy „Solidarność”. Pytanie trzeba zadać raczej tej grupie politycznej, która ciągle zajmuje, choć już bardzo osłabioną, pierwszą pozycję. Mimo kilkunastu lat jawnej działalności politycznej, nie potrafiła ona wskazać celu, ku któremu zmierza. Dążenie do reformy systemu politycznego czy gospodarczego nie może być uznane za taki cel - bo jest zbyt ogólne i wszystko można pod takim określeniem zmieścić, a ponadto mamy do czynienia ze szczególną transpozycją, przedstawiającą narzędzie jako cel; wszak nie chcemy reformować dla samego reformowania? Drugą słabością, występującą w równym stopniu jak w b. PZPR, jest niedostatek wyobraźni politycznej. Skoro jeszcze w sierpniu 1980 r. uważano, że utworzenie niezależnych związków zawodowych jest niemożliwe, skoro potem aż do 13 grudnia sądzono, że władza nie jest zdolna wprowadzić stanu wojennego, skoro w połowie lat 80-tych nie zdawano sobie sprawy, że stan wojenny poniósł klęskę i że można było przestąpić do odbudowy „Solidarności” bez pytania kogokolwiek o zgodę, skoro nie przewidziano, że w 1988 r. zacznie wzbierać eksplozja społeczna, skoro na przełomie 88/89 nie dostrzeżono, że PZPR przyjmie wszystkie warunki, skoro nie rozumiano, że przy „Okrągłym Stole” trzeba żądać, nie prosić, skoro nie przewidziano wyników czerwcowych wyborów, skoro nie potrafiono wykorzystać tego, że Jaruzelski stracił w Zgromadzeniu Narodowym większość, i wybrać własnego prezydenta, skoro... - nie dziwny się, że to wszystko trwa już dziesięć lat, a innym krajom trzeba parę miesięcy, aby nas prześcignąć. Najbardziej wymowny jest przykład NRD: rok czasu wystarczył, aby osiągnąć cel równie jasny i jednoznaczny, jak przez wiele lat niemożliwy do wykonania, ale nigdy nie porzucony - zjednoczenie Niemiec.

Słabości polityczne byłej opozycji spowodowały, że jej wpływ na masowe procesy w Polsce, jakkolwiek rosnący, w sumie był zadziwiająco mały. Raczej korzystano z korzystnego rozwoju zmian żywiołowych, niż panowano nad nimi i nadawano im porządkujący kierunek. Być może spowodowane to było również brakiem wyraźnego przywództwa politycznego. Wprawdzie niekwestionowanym przywódcą „Solidarności” był Lech Wałęsa, lecz główne decyzje podejmowano na ogół w większych zespołach ludzi; Przewodniczącemu „S” raczej pozwalano stać na czele, niż kierować. Ponadto w tych okresach, w których „Solidarność” uzyskiwała znaczny, jeśli nie decydujący wpływ na wydarzenia, przywódcy politycznej grupy reformatorskiej raczej kwestionowali pozycję Wałęsy; tak było w 1981 r., tak jest i teraz. Z drugiej strony zespół kierowniczy tej grupy, złożony ze sporej ilości ludzi wysokiej klasy, nie potrafił wytworzyć wyraźnego przywódcy. W warunkach wielkich i szybkich przemian, w dodatku w takim kraju jak Polska - wielogłowy przywódca jest chyba gorszy, niż żaden.

### **3. Przeobrażenia polityczne**

Polska ciągle jeszcze nie jest przygotowana strukturalnie do rozwijania życia politycznego. Przez całe dziesięciolecie panował u nas system polityczny - nazwijmy



go systemem K - w którym partia komunistyczna ze wszystkimi jej przybudówkami i transmisjami wypełniała całe pole polityczne. Funkcjonalność tego systemu była niewielka i wszystkie próby jej zwiększenia nie dawały wystarczających rezultatów. Począwszy od połowy lat siedemdziesiątych, wyłączność systemu K została zakwestionowana. Wraz z pojawieniem się pierwszych grup demokratycznej opozycji - KOR i ROPCiO a następnie KPN - zaczęły formować się załączki nowego systemu; nazwijmy go systemem P - politycznego pluralizmu. W roku 1980 wszedł do akcji nowy czynnik: potężny masowy ruch „Solidarności”, tworzący zupełnie nowy system, który możemy nazwać systemem S. Przez następne dziesięć lat system K uporczywie walczył, aby utrzymać swą dominującą pozycję, jeśli już nie wyłączność w polskim życiu politycznym. Ostatecznie poniósł katastrofalną klęskę i w ciągu paru miesięcy 1989 r. rozpadł się całkowicie.

Opróżnione miejsce zajął system S. Ruch „Solidarność” bardzo mocno wkroczył w polskie życie polityczne w latach 1980-81, przetrwał stan wojenny, a przez wybory 1989 r. i utworzenie rządu Tadeusza Mazowieckiego objął władzę w Polsce, a ściślej mówiąc dał ją swej politycznej czapce, jaką były Komitety Obywatelskie. „Solidarność” od samego początku miała tendencje wszechogarniające; chciała w sobie zmieścić wszystko: związek zawodowy i klub kombatanów, działanie polityczne i wolną prasę, wspólnotę przykościelną i myśl ateistyczną, środowiskowe interesy intelektualistów i robotników. Pragnąc objąć wszystko, tym samym nie widziano potrzeby istnienia czegokolwiek poza. Ta tendencja spowodowała, że gdy tylko w 1989 r. załamał się system K, system S, dążąc do takiej samej wyłączności, bardzo szybko wypełnił większą część pola politycznego.

Mówi się, że „Solidarność” odwzorowuje po prostu stary układ monopartyjny; zdaniem wielu, Polacy, pozbawieni wystarczającego doświadczenia i przygotowania politycznego, odruchowo odtwarzają dawne totalitarne struktury, co najwyżej lekko je modyfikując. Nowa nomenklatura ma zastępować starą, mechanizmy demokratyczne stają się pozorne, a wszystko znów zaczyna być sterowane arbitralnie z jednego ośrodka; monopol władzy został zachowany, tyle że pod inną barwą.

W takich stwierdzeniach jest nawet sporo racji, ale nie sięgają one sedna sprawy. Tworzenie jednego, wszechogarniającego ruchu nie jest jedynie naszą współczesną polską specjalnością, ani też nie wynika tylko z chęci odwzorowania systemu wcześniej istniejącego. Takie zjawisko występuje we wszystkich rewolucjach, także tych najbardziej łagodnych, bezkrwawych i powolnych, jak nasza obecna. Ludzie organizują się najpierw przeciwko temu, czego nie chcą i mają dosyć. Pierwszą formą organizacji masowej struktury jest ruch sprzeciwu. Wszyscy wiedzą, czego nie chcą - i to ich łączy. Skupiają się więc w jeden wielki ruch, połączony wspólną negacją. Nie jest on jednak w stanie wytworzyć jednoznacznego programu pozytywnego. Ludzie wprawdzie podejmują te same hasła, lecz nie zdają sobie sprawy, że posługują się nimi w różnych znaczeniach. Słowem, tego rodzaju masowy ruch połączony jest tym, czego nie chce - nie zaś tym, co chce; skupia w sobie ten sam sprzeciw i najprzeróżniejsze pragnienia. Taka też była „Solidarność”.

Utworzenie masowego ruchu sprzeciwu jest konieczne, aby zaczęły się zmiany rewolucyjne, tj. zmiany odwracające porządek rzeczy i przebiegające w szybkim tempie. Na progu rewolucji, i długo jeszcze potem, społeczeństwo jest zdezorientowane i pełne obaw. Ugrupowanie polityczne, które dokładnie wie - i głosi, do czego dąży, nie jest w stanie skupić wokół siebie poważniejszych sił społecznych,



wystarczających, aby doprowadzić do większych zmian; przeciwnie, samo łatwo może być rozbite przez władzę. Natomiast ruch sprzeciwu może bardzo szybko skupić wokół siebie większość sił społecznych; daje mu to - przynajmniej przejściowo - przewagę nad władzą i pozwala doprowadzić do szybkich, zasadniczych zmian. Bez ruchu sprzeciwu stary ustrój nie może zostać pokonany.

„Solidarność” była takim ruchem sprzeciwu. Ale to jeszcze nie tłumaczy wszystkiego. Zwłaszcza tego, dlaczego przybrała taki właśnie kształt i stała się związkiem zawodowym.

Ruch sprzeciwu powstaje w ramach strukturalnych, istniejących przed rewolucją. Tworzą je układy prawne, społeczne, gospodarcze, nieraz kulturowe czy etniczne. Przykładowo, Wielką Rewolucję Francuską robił Trzeci Stan - warstwa połączona wspólnym statusem prawnym, wprawdzie niesłuchanie zróżnicowana społecznie, lecz równocześnie na tyle ogromna, aby mogła obalić stary ustrój. W PRL, jak i w innych krajach totalitarnych, w następstwie zawłaszczenia przez państwo prawie całej gospodarki narodowej, w świadomości przeciętnego obywatela doszło do utożsamienia przedsiębiorstw z państwem i władzą polityczną. Stało się to źródłem szczególnego podziału o charakterze społecznym, występującego pomiędzy państwowym pracodawcą a większością zawodowo czynnej ludności, zatrudnioną w tzw. gospodarce uspołecznionej. Jest to olbrzymia grupa społeczna; w 1980 r. liczyła 12, 8 mln ludzi, więcej niż połowę dorosłych mieszkańców kraju. Na podział polityczny między społeczeństwem a narzuconą władzą nałożył się więc podział społeczny, spowodowany przez sprzeczność interesów między pracownikiem a pracodawcą. Napięcia socjalno-ekonomiczne, pojawiające się między nimi, automatycznie stawały się napięciami między obywatelem a państwem. Określało to bazę, na której mógł powstać ruch sprzeciwu: stanowili ją pracownicy gospodarki uspołecznionej.

Ale to nie wszystko. Każdy ruch masowy, aby mógł powstać, musi się oprzeć na jakichś strukturach. Pracownicy, przez sam fakt zatrudnienia w tych samych przedsiębiorstwach, wydziałach, zmianach itd. - są już niejako wstępnie zorganizowani. Narzuca to strukturę ruchu, opartą przede wszystkim o zakłady pracy, a następnie ich skupiska na tym samym terenie; jest to struktura przemysłowa i regionalna, a nie branżowa czy osiedlowa.

Jedyną strukturą, opartą o zakłady pracy i sprzeczność interesów pracownika i pracodawcy, może być tylko związek zawodowy. W ustroju totalitarnym stanowi on optymalną bazę do wytworzenia rzeczywiście masowego ruchu politycznego sprzeciwu; nawet jeśli uczestnicy tego ruchu nie chcą działać politycznie - a w początkowych fazach rewolucji na ogół nie chcą, to występując o swój interes socjalno-ekonomiczny, angażują się przeciwko władzy politycznej.

Zdawałem sobie z tego sprawę od dawna i dlatego, na przełomie 1977/78 wraz z Kazimierzem Świtoniem, działając w ramach Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, przygotowaliśmy koncepcję Wolnych Związków Zawodowych; pierwszą ich grupę Świtoń założył w Katowicach. Chodzi o to, że masowy ruch sprzeciwu łatwiej może przybrać pożądany kształt, jeśli jego zarodkowe komórki zostaną wcześniej przygotowane, a sama koncepcja upowszechniona. Oczywiście, wszystko zależało nie od przygotowań, lecz od żywiołowego powstania ruchu; świadomość, że ma on szansę tylko wtedy, jeśli potrafi przybrać formę związku zawodowego, była bardzo pomocna w przygotowaniach politycznych.



Masowość ruchu wynikała z powszechności sprzeciwu, a związkowy charakter „Solidarności” został przesądzony przez rzeczywiste podziały i struktury gospodarcze. Trzeba to sobie wyraźnie uświadomić, bo inaczej ulegamy różnym mitom, z których dwa stały się szczególnie popularne.

Pierwszy z tych mitów głosi, że odkryliśmy w Polsce nową formułę masowego ruchu, nieznaną ani wcześniej, ani gdzie indziej; jest on w stanie objąć całą niezależną aktywność społeczną, zdolny do pomieszczenia w swych ramach wszystkich i do rozwiązywania wszelakich problemów; ma to być coś nowatorskiego, wyprzedzającego znacznie stare systemy polegające na istnieniu różnych struktur, w tym zwłaszcza partii politycznych.

Absolutne nieporozumienie. Masowy ruch sprzeciwu pojawia się zawsze u początku okresu wielkich przemian i jest tylko wstępną, najbardziej prymitywną formą politycznego zorganizowania się społeczeństwa. Zatrzymanie się na tym poziomie prowadzi jedynie do rozpadu ruchu. Można go wprawdzie ująć w karby, poddać ścisłej dyscyplinie, sformalizować w zwartą strukturę - ale wtedy tworzymy partię totalitarną, zorganizowaną słabiej - jak jakobini Robespiera, czy też mocniej - jak bolszewicy Lenina. Ale to również oznacza koniec ruchu społecznego.

Drugi mit przyznaje szczególne walory związkowi zawodowemu; ma on stać się panaceum na wszystko. Tymczasem o formie związku zawodowego, jaką przybrał ruch sprzeciwu, zdecydowały nie jakieś jego szczególne zalety, lecz rzeczywistość wytworzona w państwie totalitarnym. W kraju opartym o prywatną własność środków produkcji, gdzie przedsiębiorstwa nie są utożsamiane z państwem, ruch sprzeciwu przybiera z reguły inne formy, niż związek zawodowy; zależą one od konkretnej rzeczywistości. W tym kontekście twierdzenie, że związek zawodowy jest lepiej przygotowany do rządzenia, niż partie polityczne - staje się absurdalne. Przypomnijmy, że w początku naszego wieku szybko rozwijające się brytyjskie związki zawodowe, gdy dojrzały do uczestniczenia w procesie rządzenia, stworzyły sobie własną partię - Labour Party. Podobnie działo się w innych krajach, nieraz tylko powstanie partii broniących interesów ludzi pracy wyprzedzało utworzenie związków zawodowych. NSZZ „Solidarność” w swojej historii częściej występował zresztą w funkcji partii politycznej, niż związku zawodowego - zresztą ze szkodą dla siebie, bo przestając pełnić funkcje związku, tracił siłę i poczucie sensu działania. Jak się zdaje, zostało to zrozumiane, wprawdzie późno - i „Solidarność” zafundowała sobie własną strukturę polityczną w postaci Komitetów Obywatelskich; fakt, że oderwały się one od związku zawodowego (inaczej niż np. Labour Party), to zupełnie inna sprawa.

Pierwotna forma organizacji politycznej, jaką jest ruch sprzeciwu, bardzo szybko wyczerpuje swe możliwości. Widać to było bardzo wyraźnie w 1981 r., gdy już po kilku miesiącach „Solidarność” traciła wpływ na wydarzenia i zaczęła być ogarniana wewnętrznym kryzysem. Nic dziwnego. Gdy sprzeciw osiąga sukces i stary ustrój zmuszony jest do odwrotu, konieczne staje się sformułowanie programu pozytywnego, wyraźnie określającego, co chcemy osiągnąć. Nie ma jednak jednego programu pozytywnego. Trzeci Stan był połączony w sprzeciwie wobec Ancien Regime, ale jego wewnętrzne zróżnicowanie podzieliło go na różne dążenia do bliższych i dalszych celów. Zróżnicowanie wewnętrzne tych milionów, które skupiły się w „Solidarności”, różny poziom świadomości, różne interesy i pragnienia - wszystko to nie pozwalało związkowi skupić się wokół jednego programu



politycznego i stało przyczyną podziałów i napięć wewnętrznych, jakie w 1981 r. zaczęły w nim tak silnie występować.

Była jedna rada: pozostawić związek przy właściwych mu funkcjach, a z całego ruchu wyodrębnić i wysunąć na plan pierwszy struktury polityczne. Próba taka została podjęta: była nią propozycja utworzenia Polskiej Partii Pracy, ostatecznie nie zrealizowana. To nawiązanie do wzorca Trade Unionów i Labour Party w Polsce mogło dać tylko rozwiązanie częściowe. Brytyjskie związki zawodowe potrzebowały reprezentacji politycznej robotników, gdy „Solidarność” musiałaby wytworzyć obok takiej reprezentacji, również reprezentację obywateli, pragnących praw demokratycznych, chrześcijan - pragnących wprowadzania w życie nauki społecznej Kościoła, najbardziej świadomych - domagających się niepodległości państwowej, radykalnych - żądających zmian całkowitych i umiarkowanych - pragnących zmian ograniczonych. Mogły to być cele nie sprzeczne, a nawet uzupełniające się, lecz odrębne, sięgające na różną odległość, a więc niemożliwe do zmieszczenia w programie jednej partii. Tak jak związek zawodowy jest optymalną formą masowego ruchu w państwie totalitarnym, to program związkowy może objąć jedynie małą część problemów, wymagających rozwiązania; w większości kwestii życia państwowego i społecznego związek zawodowy jest niekompetentny. Dlatego z ruchu sprzeciwu powinny wyodrębnić się inne struktury.

„Solidarność” nie poszła tą drogą, co przyczyniło się poważnie do jej klęski 13 grudnia. Ale nie bardzo mogła pójść. Podział masowego ruchu na związek zawodowy i ugrupowania polityczne byłby niczym innym, jak ustąpieniem pola przez system S systemowi P. Wielomilionowy ruch, w euforii odniesionych sukcesów, nie jest skłonny do ustępowania pola. Działal jeszcze szczególny przypadek. Otóż część wykluwającego się przed Sierpniem systemu P, a mianowicie ugrupowania reformatorskiej opozycji, weszły do „Solidarności” i bardzo szybko przejęły nad nią kontrolę polityczną (było to tym łatwiejsze, że drugi ośrodek opozycji - KPN - dławiony był przez policję, a jego przywódcy siedzieli w więzieniu). Reformatorzy wcale nie zamierzali oddawać kierownictwa ruchu, ani oddzielić się od niego i stworzyć partię polityczną; naiwnie wierzyli, że nadadzą związkowi własny kierunek polityczny, a równocześnie zachowają rozmiar masowości, pozwalający na wypełnienie całego pola politycznego. Takie dążenie przyczyniło się jednak tylko do przyspieszenia i umocnienia podziałów w „Solidarności”, a więc osłabienia jej i zmniejszenia odporności na uderzenie stanu wojennego.

Po raz drugi „Solidarność” zaczęła wyrastać jako masowy ruch sprzeciwu w 1988 r. i jeszcze wiosną 1989 r. Tym razem jednak kontrolujące ją ugrupowania polityczne zachowały się inaczej; pamiętając kłopoty, jakie miały ze związkiem w 1981 r., tym razem główny wysiłek skupiły na formowaniu struktury politycznej o pozytywnym programie - na Komitetach Obywatelskich, równocześnie powstrzymując uformowanie się rzeczywiście masowego ruchu sprzeciwu; zamiast 10 milionów, odbudowana „Solidarność” skupiła tylko dwa. Tak wielki ruch nie był jednak potrzebny, bo system K rozpadał się, a ówczesna władza gotowa była iść na głębokie ustępstwa, byle tylko nie utworzył się równie ogromny jak w 1981 r., dynamiczny i agresywny związek.

Co więcej, także dla reformatorów mógł on być szkodliwy, gdyż stanowił element presji nie tylko na ówczesny rząd, lecz również na kierownictwo ruchu. Doświadczenia 1981 r. pokazały, że nie da się łatwo ująć go w karby. Dlatego, inaczej



niż osiem lat wcześniej, rozwój ruchu sprzeciwu został zahamowany na samym początku, natomiast formacja polityczna wysunęła się daleko do przodu. Ponieważ wkrótce potem przejęła rządy, w tym kierownictwo tzw. uspołecznionego sektora gospodarki, obawiała się z podstawowej części ruchu uczynić rzeczywisty związek zawodowy, czyli strukturę broniącą interesów pracowniczych. Odwrotnie, stara się nadać „Solidarności” charakter organizacji powołanej do popierania polityki rządu, i to polityki, która ani nie została wypracowana w związku zawodowym, ani nie jest podporządkowana obronie interesów pracowniczych. Tego rodzaju posunięcia doprowadziły do narastającego podziału między elitą kierującą ruchem a szerokimi rzeszami członków związku, a także do podziału na gotowych służyć politycznie rządowi, oraz coraz liczniejszych, zainteresowanych obroną interesów pracowniczych. Oczywiście, związek zawodowy powołany jest tylko do obrony tych interesów, jeśli ma być związkiem. Oznacza to jego odejście z wielu innych dziedzin życia publicznego.

W takiej sytuacji zarysowało się już wyraźnie wypieranie systemu S przez system P. Jest to zgodne z naturą procesu historycznego. Ruch sprzeciwu, jaki nie byłby potężny i jak wielkie odnosił sukcesy, musi zacząć się dzielić w miarę kształtowania różnych pozytywnych programów. Z reguły zaczyna się od podziału na zadowolonych z dokonanych przemian i pragnących dużo więcej, później podziału na radykałów i umiarkowanych; z czasem wytwarza się cała gama ugrupowań politycznych, różniących się programami, ambicjami, przywódcami - wszystkim. Ludzie, którzy wspólnie burzyli Bastylię, a z jej resztek zbudowali most Zgody - parę lat później wysyłali się nawzajem na gilotynę. To było oczywiście zjawisko ekstremalne; typowe jest, że połączeni wspólnym sprzeciwem - dzielą się w obliczu różnych celów, jakie pragną osiągnąć.

Jest to zjawisko naturalne i zdrowe. Tak rodzi się pluralizm polityczny. Jest on niezbędny, aby mogła funkcjonować demokracja. We współczesnym świecie obywatele nie są w stanie osobiście i bezpośrednio rządzić krajem. Było tak w starożytnych Atenach, gdzie wszyscy zbierali się na agorze i okrzykami wyrażali swoją wolę. Ale ktoś musiał zaproponować wniosek, aby mógł on być zaaprobowany lub odrzucony. Dzisiaj wszechwładnie panuje demokracja pośrednia i przedstawicielska. Żeby mogła funkcjonować, konieczne jest istnienie ośrodków, z których każdy przygotowuje inny program i proponuje jego wykonawców. Między tymi programami i proponowanymi osobami wyborcy mogą wybierać. Ośrodki o których mowa, noszą nazwę partii politycznych. Nie mają one nic wspólnego z taką organizacją, jaką była PZPR - narzędzie zniewolenia społeczeństwa; określała się ona fałszywie jako partia, aby ukryć swój właściwy charakter.

Rozpad masowego ruchu sprzeciwu jest więc niczym innym, jak funkcjonalnym i politycznym rozwinięciem pierwotnej, słabo wykształconej struktury. Dzieli się ona w zależności od funkcji na związek czy związki zawodowe, stowarzyszenia społeczne i kulturalne, wyodrębnia z siebie wolną prasę i przede wszystkim partie polityczne.

Proces taki w „Solidarności” zaczął się już w 1981 r., ale stan wojenny go najpierw przerwał, a potem znacznie spowolnił. Gdy jednak ruch sprzeciwu w 1989 r. zwyciężył, jego rozpad zaczął przebiegać bardzo szybko. Najpierw wyodrębniła się struktura polityczna - Komitety Obywatelskie. Rychło jednak okazało się, że istnieją w niej różne orientacje; ponieważ żadna z nich nie mogła zapanować nad całością, z



Komitetów Obywatelskich zaczęły wyrastać partie polityczne: jako pierwsza - Porozumienie Centrum, później Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna ROAD.

Rozwoju pluralizmu politycznego nie można ograniczać wyłącznie do tego, co dzieje się w samej „Solidarności”. Nawet ważniejsze jest, co dzieje się poza nią. „Solidarność” wypełnia zmniejszającą się część pola politycznego, a partie polityczne zaczęły się formować przede wszystkim poza obrębem związku.

Przypomnijmy, że system P zaczął powstawać w połowie lat siedemdziesiątych. Tworzące go wówczas ugrupowania wybrały różne drogi, gdy nadszedł wybuch 1980 r. Reformatorzy rezygnowali w poważnej mierze ze swego programu, aby zmieścić się w formule związku zawodowego i w ograniczeniach politycznych, wynikających z porozumień gdańskich. Konfederacja Polski Niepodległej pozostała wierna swym celom, nadal głosząc radykalny program niepodległościowy.

Obie te postawy miały swoje zalety. Rezygnując z programu politycznego, czy też przykrawając go do narzuconych warunków, reformatorzy mieli nadzieję, że całkowicie przejmą kontrolę nad ruchem sprzeciwu, a z czasem wpoją mu swoje cele. Osiągnięto to tylko czasowo i częściowo. Cena polityczna była jednak wysoka. Partia polityczna reformatorskiej lewicy, która mogła powstać w 1981 r. lub wcześniej, wbiłaby się w świadomość społeczną, ukształtowała strukturalnie i programowo, dorobiła własnej historii i własnej legendy, stała bardzo wyrazistym czynnikiem życia politycznego w Polsce - słowem posiadałaby to wszystko, czego dziś brakuje mgławicowemu ROAD. Może on jedynie doczepiać się do tradycji i dokonań „Solidarności”, które są także dokonaniem środowiska reformatorów, ale do których coraz bardziej nie chce tego ugrupowania politycznego dopuszczać większość związku. Reformatorzy skorzystali z szansy, bo przez wiele lat - i dziś jeszcze - odgrywali pierwszą rolę w polityce, ale to środowisko jakby straciło duszę, nie bardzo potrafiąc określić, o co walczy, czym jest i gdzie jest: w centrum, na lewicy, a może postlewicowej prawicy?

Konfederacja poszła drogą wierności własnym celom. Przypuszczają niektórzy, że podnosząc jawnie już w połowie lat siedemdziesiątych postulat odzyskania niepodległości, liczyliśmy, że przyniesie to nam masowe poparcie. Jest to całkowite nieporozumienie. Program niepodległościowy był najtrudniejszy do przyjęcia, a zamiast przysparzać, raczej odstręczał zwolenników. Od samego początku jasno precyzowaliśmy o co nam chodzi; stwierdzaliśmy, że dążymy do wyzwolenia Polski spod radzieckiej hegemonii, co można osiągnąć jedynie przez likwidację głównego narzędzia tej hegemonii, a mianowicie monopartyjnej dyktatury PZPR; na miejsce PRL, będącego zinstytucjonalizowaną formą władztwa radzieckiego nad Polską, pragniemy stworzyć niepodległą i demokratyczną Trzecią Rzeczpospolitą. Przed Sierpniem - a i po Sierpniu nie łatwo było pod tym się podpisać. Nie tylko dlatego, że wzywaniu do likwidacji PZPR było bardziej ryzykowne od domagania się poprawy bytu robotników i likwidacji nieprawidłowości; hasło „usunięcia radzieckiej dominacji przez likwidację władzy PZPR”, zawarte w Deklaracji Ideowej KPN było czymś zupełnie innym od hasła „socjalizm tak, wypaczenia nie!”. Najważniejsze chyba było, że ludzie nie wierzyli w program niepodległościowy; nie wierzyli, że można pozbawić władzy PZPR, że można oderwać się od ZSRR. Jeszcze parę lat temu nie wierzyli.

Podnosząc nasz program, i trzymając się go uporczywie, wiedzieliśmy, że bardzo długo nie przysporzy on nam zbyt wielu zwolenników. Tak jest zawsze z



awangardową partią. Od momentu utworzenia w kraju przez Piłsudskiego niepodległościowej PPS do chwili gdy Polacy zaczęli uważać jego program za realny - upłynęło ćwierć wieku; bardzo szybko po tym powstała Rzeczpospolita. Konieczne jednak jest, aby pojawiła się awangardowa partia, która głosząc swój program bezustannie, przyzwyczajają do niego społeczeństwo i powoduje, że powoli zaczyna być uważany za realny; gdy nadchodzi czas decydujący, ludzie są już jakoś przygotowani. Wiedzieliśmy też, co było dość łatwe do przewidzenia, że któryś z kolejnych kryzysów PRL doprowadzi do stworzenia masowego ruchu sprzeciwu; jeśli nawet ruch ten zostanie pokonany, to pojawi się na nowo - i wreszcie zwycięży. Wiedzieliśmy, że wyrośnie z tego pluralizm polityczny, cała gama partii i programów. Z góry przygotowaliśmy sobie tam poczesne miejsce. Była to strategia dalekiego horyzontu.

Gdy piętnaście lat temu nurt niepodległościowy wydobywał się z podziemia do jawnej działalności politycznej, nikt z nas nie miał wątpliwości, że niepodległość dopiero ukoronuje cały długi okres naszej historii, a w żadnym wypadku go nie rozpocznie. Trzeba iść od celów mniejszych do większych. Taki był też nasz plan polityczny kolejnego osiągnięcia trzech horyzontów: najpierw organizacji społeczeństwa według kryteriów niepolitycznych (masowy ruch sprzeciwu czyli NSZZ „Solidarność”), następnie organizacji społeczeństwa wedle kryteriów politycznych (pluralizm polityczny, zreformowana PRL), wreszcie organizacji społeczeństwa w państwo (niepodległa Trzecia Rzeczpospolita). Uczestnicząc cały czas w bieżącym działaniu, nie byliśmy w stanie stawiać się siłą rozstrzygającą w osiągnięciu każdego z tych horyzontów; naszym zadaniem jest zadecydować o trzecim. Dlatego mogliśmy spokojnie obywać się bez szerszego poparcia przy przekraczaniu pierwszego horyzontu, z umiarkowanym poparciem dochodzić do drugiego horyzontu - nie osiągniętego jeszcze w pełni, a naprawdę mocni być musimy. gdy trzeba będzie przebyć trzeci horyzont - może już bardzo niedługo. I zaraz potem. A więc inaczej niż ugrupowania reformatorskie, które prawie całkowicie dominowały w okresie ruchu sprzeciwu, a teraz z trudem walczą o zachowanie dobrej pozycji w tworzącym się systemie pluralistycznym. Swoją strategię polityczną skorelowaliśmy ze spodziewanym - i rzeczywiście dziejącym się - procesem przemian świadomościowych w społeczeństwie oraz z przebiegiem zdarzeń politycznych. To wyprowadziło nas na obecną, liczącą się pozycję polityczną, zapewniającą nam wystarczającą swobodę działania.

Obok KPN, drogę tworzenia struktur politycznych wybrały też istniejące zarodkowo przed Sierpniem ugrupowania ludowe, chrześcijańsko-demokratyczne, narodowo-demokratyczne i socjalistyczne. Wszyscy uczestniczyliśmy w ruchu sprzeciwu, ale nie rozplynęliśmy się w nim. W latach osiemdziesiątych uformowały się dalsze ośrodki. Spowodowało to, że system P częściowo tylko (reformatorzy) rozplynął się w systemie S; istniał równoległe, początkowo jako zjawisko dość marginalne, z czasem coraz szersze. Gdy rozpadł się system K, system S nie był w stanie wypełnić całego pola, bo system P zajął już był niemałą jego część. Tworzy go, obok najstarszej i politycznie najsilniejszej Konfederacji Polski Niepodległej, pluralistyczna gama różnych stronnictw. Do większych należą Zjednoczenie Chrześcijańsko - Narodowe, Chrześcijańsko - Demokratyczne Stronnictwo Pracy - oba wywodzące się z demokratycznej opozycji, następnie Polskie Stronnictwo Ludowe - łączące w sobie elementy niezależne i nomenklaturowe, oraz przeobrażające się w bólach w stronę demokracji - Stronnictwo Demokratyczne, wreszcie



Socjaldemokracja, wywodząca się z dawnego PZPR. Obok nich bardzo dużo mniejszych, z radykalną Partią Wolności, wyrosłą z „Solidarności Walczącej”, ugodową Unią Polityki Realnej i wpływowym w kręgach rządowych Forum Prawicy Demokratycznej. Nie trzeba podkreślać gigantycznych nieraz różnic programowych między tymi partiami; ale wszystkie one weszły do tego samego systemu pluralizmu politycznego, to znaczy wspólnie tworzą zróżnicowane życie polityczne kraju.

System P, wyrosły obok systemu S, coraz bardziej zaczyna być zasilany przez ten ostatni. Silne ruchy wewnątrz „Solidarności”, podział jej na struktury związkowe (nawet dwie, bo „Solidarność 80,„) i polityczne, a następnie formowanie się odrębnych partii politycznych powoduje, że najważniejsze politycznie fragmenty odrywają się od systemu S i umieszczają w systemie P. Następuje to coraz szybciej. Można przypuszczać, że wolne wybory parlamentarne oznaczać będą kres systemu S, który na krótki tylko czas zdominował nasze życie polityczne. Zostanie on całkowicie zastąpiony przez system P. To znaczy przez normalny system pluralistyczny, typowy dla wszystkich krajów demokratycznych, półdemokratycznych a nawet autorytarnych.

Patrząc na to przez strategiczny program działania Konfederacji, osiągamy drugi horyzont - i wchodzimy w okres decydujący o całej naszej przyszłości.

#### 4. W słabnącym cieniu Rosji

Wszystko to, co zdarzyło się w Polsce, nie może być wytłumaczone jedynie przez polskie sprawy. Oczywiście, są one najważniejsze; gdyby nie uporczywa presja społeczeństwa na totalitarne władze, gdyby nie kolejne bunty i rewolty, gdyby nie opozycja demokratyczna i masowy ruch sprzeciwu - nic, albo niewiele u nas zmieniłoby się. Aktywność społeczeństwa, jego dynamika, gotowość do ryzyka i pragnienie zwycięstwa decydują.

No tak, ale w pierwszych latach powojennych tego wszystkiego nie brakowało. Lecz opór Polaków został złamany, a społeczeństwo rzucone na kolana. Dlaczego? Po prostu polskie wysiłki nie dały wówczas bezpośrednich efektów, bo sytuacja międzynarodowa, w jakiej się znaleźliśmy, była wyjątkowo niekorzystna. ZSRR, który świeżo zwyciężył Rzeszę Niemiecką - swego głównego współzawodnika do imperialistycznego władztwa nad Europą, uzyskał właśnie zgodę mocarstw zachodnich, aby rozciągnąć swoją hegemonię nad centralną i wschodnią Europą. Po krótkim okresie przerwy - Drugiej Rzeczypospolitej, cień Rosji, padający na Polskę od XVIII wieku, pogrążył nas znowu w ciemności.

Wielkie mocarstwo kontynentalne szybko przeszło przez okres apogeum swej potęgi. Już w dziesięć lat po wojnie ujawnił się pierwszy kryzys wewnętrzny totalitarnego imperium. Po nim przyszły następne. Siła supermocarstwa systematycznie zaczęła słabnąć. Wraz z tym zmniejszały się możliwości polityczne ZSRR, a jego polityka siły coraz bardziej traciła ostrość. W 1950 r. Moskwa mogła wysłać swego satelitę - Północną Koreę, aby zagarnąć południową część Półwyspu, i trzeba było całej potęgi Stanów Zjednoczonych, aby do tego nie dopuścić. W roku 1956, broniąc całości swego obozu, ZSRR mógł wysłać czołgi na Węgry i urządzić krwawą masakrę Budapesztu. W 1968 r., wysyłając wojska do Czechosłowacji, Moskwa dbała bardzo, aby nie doszło do przelewu krwi; mogła jeszcze interweniować zbrojnie, nie mogła już mordować. Przynajmniej w Europie. Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych ZSRR utracił polityczną zdolność użycia siły w naszej strefie. Formalnym potwierdzeniem tego był układ w Helsinkach w 1975 r. Militarne Sowiet



byli w stanie przeprowadzić każdą operację, ale jej polityczne koszty przekraczały spodziewane korzyści. To rozstrzygało, że po Helsinkach ZSRR nie mógł w zasadzie interweniować militarnie w Europie; zachował jeszcze zdolność do grożenia taką interwencją, z czego korzystał w latach 1980-81; parę lat później i to narzędzie stracił.

Nie było więc rzeczą przypadku, że nurt niepodległościowy jawną działalność opozycyjną zaczął rozwijać zaraz po 1975 r. Politycznie i programowo byliśmy do niej gotowi znacznie wcześniej, a przygotowania organizacyjne do powołania jawnej organizacji niepodległościowej prowadziliśmy od początku lat siedemdziesiątych. Czekaliśmy jednak na przewidywaną przez nas od dawna utratę przez ZSRR politycznej zdolności do zbrojnej interwencji w Europie; że to nastąpi w ciągu lat siedemdziesiątych, sugerowałem w książce wydanej z początkiem tej dekady („Dylematy, Wstęp do historii politycznej Europy Zachodniej 1945-1970”, Wyd. MON 1971). Łatwo bowiem było zrozumieć, że przedwczesne podjęcie jawnej i zorganizowanej działalności niepodległościowej, zwłaszcza jeśli zyska ona poparcie społeczne, może sprowokować zbrojną akcję Sowietów, która być może na wiele lat przekreśli nasze aspiracje wolnościowe. Bardzo był wyczulony na to ówczesny przywódca nurtu niepodległościowego gen. dr Roman Abraham. Układ helsiński, gwarantujący przestrzeganie praw człowieka i obejmujący zobowiązanie ZSRR, że nie użyje siły zbrojnej w Europie - tworzył nową sytuację. Wprawdzie trudno mieć jakiegokolwiek zaufanie do słowa Moskwy, w tym wypadku jednak ZSRR bardzo zależało, aby ustalenia helsińskie były przestrzegane. Dało to nam szansę podjęcia nie tylko zorganizowanej działalności opozycyjnej, lecz wystąpienia z otwartym programem niepodległościowym, czego dokonaliśmy jeszcze w 1977 r. - działając pod firmą Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, a w dwa lata później utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej. Nasze przewidywania okazały się słuszne; w ówczesnej sytuacji międzynarodowej władze PRL musiały tolerować istnienie opozycji, a gdy powstał masowy ruch sprzeciwu, ZSRR nie mógł interweniować bezpośrednio; nakazany przez Moskwę stan wojenny nie miał już takiej siły i WRON Jaruzelskiego musiał go przegrać.

Korzystna sytuacja międzynarodowa umożliwiła powstanie w Polsce masowego ruchu sprzeciwu i stworzyła warunki dla jego ostatecznego sukcesu nad totalitarną władzą. Równocześnie jednak wydarzenia w Polsce oddziaływały na zewnątrz, pobudzając i stymulując zmiany w obozie oraz wpływając zasadniczo na politykę światową. Ważny był nie tylko kierunek zmian w naszym kraju i ich dynamika, lecz również ciężar geopolityczny Polski; stanowiła ona więcej niż jedną trzecią ogółu ludności i jedną czwartą potencjału ekonomicznego wszystkich satelickich państw europejskich. Zważywszy znacznie wyższą rangę polityczną PRL - drugiego po ZSRR państwa obozu, a jeszcze bardziej tradycyjną od tysiąca lat wysoką rangę polityczną Polski, wpływ tego, co się u nas działo, miał dla rozwoju wydarzeń w Europie środkowo-wschodniej decydujące znaczenie.

W ślad za powstaniem opozycji demokratycznej w Polsce, podobne ruchy, wprawdzie długo nieporównanie słabsze, zaczęły się tworzyć w Czechosłowacji i na Węgrzech, a potem w NRD. Sierpień 1980 r. i kilkunastomiesięczny okres „Solidarności” wywarł trudny do przecenienia wpływ na świadomość społeczną wszystkich krajów obozu, ZSRR nie wyłączając. Okazało się, że możliwe są masowe protesty, że totalitarna władza musi przed nimi ustępować, że komuniści nie mają rzeczywistego poparcia społecznego, a zniewolony naród znajduje w sobie dość siły,



aby upomnieć się o swoje prawa. Był to przełom, który przesądził o przyszłym upadku komunizmu w naszej części Europy.

Wydarzenia polskie oddziaływały jednak daleko poza granicami obozu. Masowe strajki i utworzenie niezależnego związku zawodowego stały się dla Zachodu zaskakującym dowodem, że wbrew temu, co tam dość szeroko sądzono, robotnicy nie opowiadają się ani za komunizmem, ani za socjalistycznymi rozwiązaniami; związani są duchowo z Kościołem, a nie partią. Było to jakby zdemaskowanie zmory, która od drugiej wojny światowej dręczyła Zachód. Co więcej, wydarzenia polskie, a także zachowanie się Moskwy ujawniły głęboki kryzys, jaki ogarnął obóz; przekonano się, że jest to rzeczywiście kolos na glinianych nogach. „Polacy ujawnili światu, że to, co braliśmy za siłę, jest zastygłą w bezruchu słabością” - wykrzyknął Ronald Reagan. Polski Sierpień pozwolił na reorientację polityki Zachodu; zwłaszcza USA i Wielka Brytania zrozumiały, że słabość ZSRR należy wykorzystać, a to wymaga nie paktowania i szukania odprężenia, lecz polityki z pozycji siły. Rzeczywiście, niemal od razu zaczęła ona przynosić wyraźne sukcesy.

Stan wojenny przyjęty został przez obóz i świat z zapartym oddechem, a gdy wkrótce okazało się, że Polacy nie dali się rzucić na kolana i opór polityczny tężeje, coraz wyraźniej do świadomości zniewolonych narodów zaczęło przenikać przekonanie, że masowy sprzeciw wobec narzuconego ustroju i obcej dominacji jest jedynym ratunkiem. Dalsze wydarzenia polskie - zaprzestanie z początkiem drugiej połowy lat '80 masowych represji, ustępstwa i umizgiwanie się do narodu kumulowało się w świadomości innych społeczeństw obozu, powodowało chęć naśladownictwa. Następujący coraz wyraźniej kryzys struktur państwowych, politycznych i gospodarczych wszystkich państw totalitarnych oddziaływał zarówno na ludzi, jak rządy. Aby powstrzymać nadciągającą burzę, Gorbaczow podjął spóźnioną próbę opanowania sytuacji przez dokonanie głębokich reform; jednak pierestrojka rychło stała się czynnikiem destabilizującym zamrożony, ale pękający ład polityczny. Pragnąc uniknąć powtórzenia się w ZSRR polskiego Sierpnia, przywódcy radzieccy sami naruszyli chwiejną równowagę obozu. W tych warunkach względnie słabe jeszcze polskie uderzenie strajkowe 1988 r. podziało jak wybuch wulkanu, a zmiany polityczne, które nastąpiły w naszym kraju w 1989 r. stały się bezpośrednią przyczyną obalenia przez społeczeństwa totalitaryzmu na Węgrzech, w Niemczech Wschodnich i Czechosłowacji oraz rozbicia jego podstaw w Bułgarii i Rumunii, a także przyspieszenia procesów emancypacyjnych niewolonych narodów oraz narastania już niemal rewolucyjnych stanów w całym ZSRR.

Oczywiście, najważniejsze są działania samych narodów. Gdyby jednak nie to, co w ostatnim dziesięcioleciu nastąpiło w Polsce, zapewne nadal pogrążone byłyby one w bierności, nie zdając sobie sprawy ani z własnej siły, ani ze słabości narzuconego systemu. Dlatego trzeba było „Solidarności”, aby za masowym ruchem polskim mogli pójść inni. Tak zawałił się stary świat.

Zrozumienie procesów, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy, konieczne jest aby lepiej ocenić nasze możliwości. Ale na pewno nie wystarcza. Patrzeć trzeba przede wszystkim w przyszłość, nie przeszłość. Od odpowiedzi na pytanie, w jakich warunkach międzynarodowych będziemy żyć, zależy w znacznym stopniu odpowiedź, co jest konieczne, abyśmy uczynili.



### III. Międzymorze

#### 1. Nowa geopolityka

W tym wielkim zamieszaniu, jakie w końcu lat '80 ogarnęło wschodnią część Europy, rysują się coraz wyraźniej pewne punkty porządkujące. Wali się porządek ustanowiony po drugiej wojnie światowej przez Moskwę, ale wali się też porządek wprowadzony w imperium rosyjskim przez rewolucję. Zmiany nie zamykają się jednak w granicach obozu. Jego rozpad promieniuje na zewnątrz: usuwa jedno z głównych spoiw politycznych jednoczącej się Europy zachodniej, czyni zbędną militarną obecność USA po tej stronie Atlantyku, powołuje do nowych ról zjednoczone Niemcy. To w Europie. Zaś w Azji wielkiemu wyzwaniu politycznemu musi nagle sprostać kolos gospodarczy - Japonia, zaś rysujące się na horyzoncie rozwiązanie problemu chińskiego może uwolnić tego samospętanego olbrzyma; dodajmy do tego nową perspektywę dla krajów islamskich. Konflikt Wschód-Zachód, który przez blisko pół wieku zdominował stosunki globalne, zanika. Wchodzimy w nowy świat.

Co pozostanie? Jakie elementy odchodzącego w przeszłość układu przetrwają jego katastrofę? Odpowiedź musi padać w dwu kategoriach: geopolitycznej, rozpatrującej zmienne układy polityczne na niezmienniej przestrzeni, oraz cywilizacyjnej.

Postarajmy się określić te stałe punkty, przykryte wzburzonymi odmętami przemian - tak jak je widać od nas, z Polski, a może raczej ze środka Europy. Ściślej mówiąc - z Międzymorza, a więc tej wyodrębnionej geograficznie i historycznie części Europy, jaka rozciąga się między morzami Bałtyckim, Czarnym i Adriatykiem, od zachodu sąsiadując z Niemcami, a od wschodu z Rosją etniczną.

Co więc pozostanie? - Pozostanie Rosja. Tę konstatację musi sobie ciągle powtarzać każda odpowiedzialna polityka polska: pozostanie Rosja. Jeśli ZSRR rozpadnie się całkowicie i wszystkie zdolne do tego narody utworzą własne państwa, Rosja nadal obejmować będzie obszar co najmniej 17 2mln km, zamieszkałych przez więcej niż 150 mln ludzi, o rocznym dochodzie narodowym w wysokości nie mniej niż 400 mld USD. To ogromne państwo, rozpościerające się od zatoki Fińskiej po Czukotkę, wraz ze zrzuceniem starego systemu, uzyska zupełnie nowe możliwości gospodarcze, szybko przekraczając ten udział w handlu światowym, jaki ma dzisiaj cały ZSRR. Trzeba tylko czasu, aby wszystko zagrało. Wówczas nowa dynamika rozwoju w połączeniu ze świadomością strat, jakie poniesiono w dobie rozpadu imperium, zapewne spowoduje nie tylko odradzenie poczucia siły, ale również chęć rewanżu i odebrania tego, co stracono. Może to przypominać zjawiska, występujące w Niemczech w latach trzydziestych naszego wieku. Tyle tylko, że w zupełnie innym układzie geopolitycznym. Nowa Rosja nie będzie rywalem politycznym ani dla Ameryki Północnej, ani dla Europy Zachodniej; będzie tam raczej znajdowała partnerów, niż przeciwników. Nie uniknie zaangażowania w sprawy azjatyckie, lecz wykorzystując rywalizację Trzech, a może Czterech Wielkich (Japonia, Chiny, Indie oraz zapewne blok narodów islamskich), może sobie zapewnić wystarczające bezpieczeństwo. Rozumując w wąskich kategoriach geopolitycznych, można wyprowadzić tylko jeden wniosek: Rosja będzie zablokowana w Azji, otwartym kierunkiem pozostanie zachód.



Po drugiej naszej stronie pozostanie zintegrowana Europa Zachodnia, ale stanowić już będzie inną wartość geopolityczną. Przede wszystkim straci swe ostrze obronne wymierzone na wschód. Umocni się natomiast gospodarcza, ale także polityczna rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi i Japonią. Położenie geopolityczne Wspólnoty Zachodnio-Europejskiej zdominowane jednak zostanie przez konflikt Północ-Południe. Może on przybierać bardzo różne kształty: na pewno ekonomiczne, na pewno ekspansji demograficznej z krajów nierozwiniętych, ale nieuniknione będą również starcia militarne. Zmieni się też sytuacja wewnętrzna Wspólnoty; niektóre z jej głównych członków, od Wielkiej Brytanii poczynając, będą mniej zainteresowane w całkowitej unii politycznej. Jako całość, Europa Zachodnia nie będzie zainteresowana w ekspansji terytorialno-politycznej, lecz jej potrzeby gospodarcze, a także polityczne niektórych krajów, wywoływać mogą konieczność utrzymywania pod kontrolą obszarów uzupełniających.

Na sytuację wewnętrzną Europy Zachodniej wpływać będzie decydująco zmiana relacji między poszczególnymi partnerami. Wywołane to zostanie przez zjednoczenie Niemiec. Już dzisiaj Bundesrepublik jest nieco ludniejsza niż pozostałe trzy główne kraje Wspólnoty: od Francji o 7%, od Wielkiej Brytanii o 4%, od Włoch o 3%. W warunkach unii politycznej, gdy poszczególne kraje wysyłają do wspólnego parlamentu deputowanych w liczbie proporcjonalnej do ich zaludnienia, reprezentacje tych czterech państw są mniej więcej równe. Po zjednoczeniu Niemcy będą jednak mieć o 35% więcej ludności niż Włochy, o 37% więcej niż Wielka Brytania i o 40% niż Francja; może to dać im polityczny prymat we władzach Wspólnoty. Jeszcze większe znaczenie będzie miało umocnienie niemieckiej pozycji w gospodarce Europy Zachodniej. Stworzy to stan nierównowagi, który albo doprowadzi do przejęcia kierownictwa nad EWG przez Niemcy, albo - co jest prawdopodobniejsze, do stworzenia bloku przeciwniemieckiego, aby do tego nie dopuścić. W obu wypadkach powodować to będzie konflikty i opóźnić rzeczywiste ukształtowanie się spójnej Unii Europy Zachodniej.

Niemcy, zjednoczone i bogate, staną się nowym czynnikiem w całej Europie. Dziś chcą być trwałym składnikiem Europy Zachodniej, ale kłopoty spowodowane ich czołową pozycją w tym układzie mogą je skłonić do szukania innych koncepcji. Narzuca się rozwiązanie szersze - ogólnoeuropejskie. Jeśli w zachodniej części kontynentu Niemcy napotykać na blok rywalizujących z nimi krajów - mogą chcieć go zrównoważyć, wprowadzając do Wspólnoty kraje wschodnioeuropejskie, łatwe do uzależnienia politycznego i gospodarczego. Powstały twór składałby się z dwu zupełnie odmiennych części: bogatej zachodniej i ubogiej wschodniej, z tego względu jakoś z sobą skonfliktowanych; pozwoliłoby to Niemcom na utrzymanie dominującej pozycji. Zwłaszcza, że ponad głowami innych Europejczyków mogliby szukać sojuszników dalej na zachodzie - w USA, i dalej na wschodzie - w Moskwie.

Przewaga Niemiec będzie jednak czasowa. Ujemny przyrost naturalny już w pierwszych dziesięcioleciach XXI wieku sprowadzi ten kraj do ludnościowego poziomu innych głównych krajów zachodnioeuropejskich, a nawet do osiąganego w tym czasie przez Polskę lub Ukrainę. Także ranga gospodarcza Niemiec ulegnie względnemu osłabieniu. Doprowadzi to do wyraźnego spadku znaczenia Niemiec, ale może też wywołać dążność do stanowczej obrony uzyskanych pozycji.

Samo zjednoczenie przeobrazi wewnętrznie Niemcy. Perturbacje, spowodowane różnym poziomem gospodarki i standardem życia, mogą potrwać kilka



lat, ale siłą rzeczy wszystko się wyrówna. Dość trwale mogą okazać się natomiast zmiany świadomościowe. W społeczeństwo zachodniemieckie, ukształtowane demokratycznie i europejsko, wejdzie liczna społeczność wschodniemiecka - piąta część całości, wychowana w duchu totalitarnym i militarystycznym, o żywych jeszcze tradycjach pruskich, względnie uboga i czująca się pokrzywdzoną. Może to zasadniczo - i ujemnie - oddziaływać na życie polityczne Niemiec. Dodatkowym elementem będzie, że po kilku latach przerwy, spowodowanej naporem wschodniemieckiej siły roboczej na zachodniemieckie miejsca pracy, gdy mocniej zarysuje się regres demograficzny - wznowiony zostanie napływ górników z krajów położonych na wschód i południowy-wschód od Niemiec - od Bałtów po Turków.

Zmiany demograficzne w Niemczech, spadek liczebności Niemców i względna starość tej populacji, duży napływ przybyszów, dla których obce będą całkowicie dawne mocarstwowe tradycje niemieckie - wszystko to spowoduje, że mało prawdopodobna będzie ekspansja polityczno terytorialna Niemiec na wschód w swym znanym z przeszłości kształcie. Podobna ekspansja Zachodniej Europy, rozumianej jako całość, będzie jeszcze mniej prawdopodobna.

W grę wchodzić może natomiast dążenie do takich związków z całością czy częścią naszej strefy, które umocnią w świecie pozycję polityczną Wspólnoty Zachodnio Europejskiej, lub ewentualnie pozycję niektórych państw zachodnioeuropejskich we Wspólnocie. Niemcy mogą szukać przeciwwagi dla swych sąsiadów zachodnich, Francja może myśleć o odtworzeniu układów powersalskich, Włochy mogą wrócić do idei skupiania wokół siebie strefy południowej, a w jej ramach krajów bałkańskich i dunajskich. Wpływało to będzie na kształt Wspólnoty Zachodnio Europejskiej i oddziaływało istotnie na Międzymorze.

Występować będzie na pewno tendencja do ekspansji gospodarczej na wschód. Niezależnie od polityki rządów, gospodarka zachodnioeuropejska, zwłaszcza krajów najbardziej uprzemysłowionych, szukała będzie w pobliżu stref uzupełniających, stanowiących rezerwuar rezerwowej, taniej siły roboczej, w których można będzie umieszczać uciążliwe przemysły. Spowoduje to stałe dążenie do uzyskiwania mocnych pozycji gospodarczych, ale także politycznych w krajach środkowej i wschodniej Europy.

## 2. Determinanty cywilizacyjne

O wiele bardziej trwałe, niż układy geopolityczne, są czynniki cywilizacyjne. Kulturowa granica Europy wcale nie leży na Uralu; Zachód, przynajmniej w sensie cywilizacyjnym, sięga tak daleko, jak wilgotne wiatry znad Atlantyku. W kategoriach geopolitycznych Rosja nie jest Europą, podobnie jak Stany Zjednoczone czy Australia; ale Rosja nie jest Europą również w kategoriach cywilizacyjnych. Było tak zawsze - i zawsze było to odczuwane, choć wraz ze wzrostem rosyjskiej potęgi chętnie - z przyczyn politycznych - o tym zapomiano.

Słabo zarysowany fizycznie wododział Dniepru i Wołgi oddziela dwie zupełnie inne strefy; w pobliżu tej bariery przez większą część pisanej historii przebiegała granica polityczna; od kilkudziesięciu lat jest to tylko granica między republikami radzieckimi, ale przebiega ona niemal dokładnie tak, jak wschodnia granica Rusi Kijowskiej w początkach tego państwa (przed kolonizacją międzyrzecza Oki i górnej Wołgi), albo tak, jak wschodnia granica Rzeczypospolitej w wiekach XV-XVII na odcinku południowym, a jeszcze w wieku XVIII na odcinku północnym.



Tym granicom, tak wyraziście utrwaloną przez historię, odpowiada granica cywilizacyjna. Rzecz jasna, nigdy nie może być ona równie ostra, jak granica administracyjna. Zawsze mamy do czynienia z szerokim pasem przenikania się cywilizacji. Lecz w danym miejscu któraś dominuje.

Cywilizacja rosyjska związana jest z Azją nie tylko dlatego, że większa część objętego nią obszaru znajduje się na wschód od Uralu. Wyrosła pod tchnieniem środkowoazjatyckich stepów, z tych wartości, które się tam narodziły, albo które za ich pośrednictwem zostały przeniesione jeszcze bardziej ze wschodu, zwłaszcza z Chin. Ruś Kijowska, cywilizowana z Bizancjum, a więc już pod wpływem wschodu, zaniósła w dorzecze Wołgi wiarę chrześcijańską i język, dokonując powierzchownego zesławiańszczenia miejscowych ludów grupy altajskiej; Mongołowie, którzy od połowy XIII wieku podporządkowali sobie te obszary, pozostawili cienki słowiański nalot, lecz głęboko wpoili system wyobrażeń, zachowań i instytucji, wykształcony w Złotej Ordzie z pierwiastków rodzimych lub zapożyczonych, zwłaszcza ze zdobytych przez Mongołów Chin. Później, gdy państwo moskiewskie rozprzestrzeniło się na wschód, zajmując nie tylko tereny b. Złotej Ordy, ale ziemie aż po Pacyfik, migrujący tam Rosjanie wchłaniali cywilizacyjne pozostałości imperium mongolskiego, a rusyfikowana miejscowa ludność zmieniała język, lecz nie system wartości.

W tej mieszance dominowały zawsze czynniki środkowoazjatyckie. Nie należy ich wartościować, bo nie muszą być gorsze niż zachodnie. Są po prostu inne. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę. Inność ta powoduje, że wszystkie dotychczasowe próby przejścia przez Rosję kulturowych wartości zachodu nie powiodły się. bo zawsze w powstającej mieszance cywilizacyjnej zwyciężały pierwiastki wschodnie. Dowodzą tego zarówno reformy Piotra, jak próba realizacji marksistowskiej utopii. Dlatego najprostszy realizm polityczny wymaga założenia, że kolejna próba przeszczepienia z Zachodu wartości - takich jak wolność, lub instytucji - takich jak demokracja, próba która się obecnie tak dynamicznie rozpoczyna, może dać w efekcie coś zupełnie innego, niż to sobie w zachodniej Europie potrafimy wyobrazić. Jeśli nawet próba taka się powiedzie, wymaga czasu - i to dłuższego, niż okres jednego pokolenia. Przeobrażenia cywilizacyjne, również w naszym wieku elektronicznych środków przekazu, następują powoli.

Granica cywilizacyjna, która przebiega na wschód od nas, jest nie tylko zjawiskiem trwałym, lecz najprawdopodobniej w najbliższych dziesięcioleciach ulegnie wyraźnemu umocnieniu. Cywilizacja rosyjska, wraz z uzyskaniem potęgi politycznej promieniując najpierw na dorzecze Dniepru i Dźwiny, a później aż po Łabę i Adriatyk, zderzała się na tym obszarze ze znacznie silniejszą cywilizacją zachodnią; tworzyło to szeroką strefę przenikania się kultur. Gdy nowe granice polityczne osłonią od wschodu kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę, nalot moskiewski będzie szybko niknął, a pierwiastki śródziemnomorskie, zarówno w ich greckim jak łacińskim wydaniu istotnie się umocnią. Może to nawet spowodować, że obecne dość łagodne przejście cywilizacyjne zostanie zastąpione gwałtownym uskokiem.

Konsekwencje tego są bardzo poważne. Nadal musimy być przygotowani, że wzajemne zrozumienie będzie bardzo trudne, a systemy wartości nie dadzą się do siebie łatwo dopasować. To, że intelektualisci polscy znajdują dzisiaj łatwy język z intelektualistami rosyjskimi ma nie większe znaczenie, niż półtora wieku temu rozumienie Polaków przez Hercena lub rozumienie Turgeniewa przez Polaków. Ten brak wzajemnego rozumienia się może być brzemienne obustronną niechęcią lub



pogardą; grozi, że zaostrzy ogromnie spory i konflikty, wywoływane zarówno względami geopolitycznymi i sprzecznością rzeczywistych interesów, jak również inną oceną przeszłości i teraźniejszości. Starcie cywilizacyjne nie jest nieuniknione i nie musi nastąpić, ale różnice cywilizacyjne nie dadzą się ominąć.

Inny charakter mają różnice cywilizacyjne między narodami Międzymorza a Europy Zachodniej. Nie są one ani tak stare, ani tak wielkie, lecz nie wolno ich lekceważyć. Poważny wpływ na ich obecny stan mają różne doświadczenia historyczne ubiegłego i obecnego stulecia. W wieku XIX, gdy w Europie Zachodniej kształtowały się państwa narodowe - to znaczy państwa w których system dynastyczny zastąpiony został przez zasadę zwierzchnictwa narodu (rozumianego jako ogół obywateli), w naszej strefie mieliśmy do czynienia zarówno z niewoleniem narodów, jak też panowaniem dynastii (Romanowowie, Habsburgowie, Osmanowie, w bardziej ograniczonym stopniu Hohenzollernowie). Wiek dwudziesty przyniósł wprawdzie wyrównanie, ale nie na długo, gdyż po drugiej wojnie światowej Międzymorze utraciło wolność polityczną i zostało wtłoczone w totalitarne okowy. W tym samym czasie w Zachodniej Europie nie tylko zwyciężyła i rozwinęła się demokracja, lecz dokonała ona ogromnego postępu gospodarczo-technicznego. Pod wpływem nowych możliwości materialnych oraz szybkiej unifikacji kulturowej, następującej na zachód od Łaby i Adriatyku, przez blisko półwiecze wytworzył się wielki dystans cywilizacyjny między dwoma częściami Europy; w jakiejś mierze jest to nawrót do układu z głębokiego średniowiecza.

Jest to jednak tylko dystans cywilizacyjny: nie różnica trwała, lecz przesunięcie w czasie. Bardzo jednak istotne, bo umieszcza naszą strefę na wyraźnie niższym poziomie, tym bardziej odczuwalnym, że w świecie tych samych wartości. Mamy, i przez jakiś czas będziemy mieli status gorszych. Nie innych - jak wobec rosyjskiego Wschodu, lecz gorszych w europejskim Zachodzie.

### **3. Wspólne zagrożenia**

Zarówno względy geopolityczne, jak cywilizacyjne przynoszą wszystkim krajom Międzymorza te same zagrożenia. Od wschodu jest to Rosja, albo jakieś państwo kierowane przez Rosjan (lub, co gorsza, przez szybko wzrastających w demograficzną siłę sowieckich Azjatów). Jest wielce prawdopodobne, że wróci ono na tory ekspansji terytorialnej, jak to bywało w historii, po raz ostatni pod postacią ZSRR. Najłatwiejszym kierunkiem będzie Międzymorze. Przyszła Rosja (ZSRR, czy jak to państwo, zawsze skore do zmiany nazw, będzie się nazywać) będzie miała ułatwioną ekspansję, przynajmniej początkowo, bowiem zaniknie lub zmniejszy się jego światowa rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi, a przestanie być bezpośrednim zagrożeniem dla Zachodniej Europy.

Zważywszy zróżnicowanie wewnętrzne Międzymorza, Moskwa może po każdy z jego krajów sięgać oddzielnie, albo też - podobnie jak przed półwieczem - podzielić swą ekspansję na parę faz. Przewaga geopolityczna Rosji pozostaje olbrzymia; biorąc pod uwagę tylko czynniki demograficzne, a pomijając przestrzenne czy gospodarcze, jest to przewaga nad Polską lub Ukrainą blisko czterokrotna, nad Białorusią - więcej niż piętnastokrotna, nad krajami bałtyckimi - trzydziestokrotna. Stanowi to swoiste zaproszenie do powtórzenia operacji, która była już wykonywana z powodzeniem; w starszej historii (w początkach i w końcu XVIII w.) oraz w nowej - gdy niespełna ćwierć wieku po kompletnym rozpadzie imperium carskiego odbudowane imperium



sowieckie odebrało utracone kraje i zdobyło te, których opanowanie planowano znacznie wcześniej. Ponieważ nie mamy prawa zakładać, że zanikł i nie odrodzi się ekspansywny duch Moskwy, dysproporcje ciężaru geopolitycznego muszą być podstawowym czynnikiem naszej prognozy przyszłości.

Od zachodu zagrożenie ma inny charakter. Wprawdzie nie można wykluczyć tradycyjnych niebezpieczeństw. W naszym polskim przypadku byłby to ewentualnie jakiś spór terytorialny, wywołany przez żądania niemieckie. Naprawdę groźne jest coś innego. Na zachód od nas wyrósł potężny kolos gospodarczy. Zaczyna on się powoli dławić na dość ograniczonym terytorium, niewystarczającym na równoczesne zaspokajanie wszystkich potrzeb lokalizacyjnych gospodarki oraz komfortu bytowania w dobrych warunkach ekologicznych zamożnych społeczeństw. Dochodzi do tego niedostatek siły roboczej, zwłaszcza w dziedzinach, w których nie chcą pracować miejscowi. Wynika z tego potrzeba znalezienia strefy, w której możnaby lokować to wszystko, czego Europa Zachodnia nie chce u siebie, a równocześnie jest jej potrzebne; a także potrzeba posiadania rezerwowej siły roboczej. Z zachodniego punktu widzenia najlepiej nadaje się do tego Międzymorze. Jest po prostu najbliższe. Tutaj można umieszczać uciążliwe przemysły, wydobywać surowce, urządzać wysypiska odpadów; równocześnie stąd można czerpać wystarczającą liczbę *gastarbeiterów*, a gdy staną się zbędni - odsyłać ich do domów. Tego rodzaju postępowanie nie musi być skutkiem świadomej polityki rządów. Znacznie gorzej: grozi nam w następstwie tysięcy zdecentralizowanych decyzji grup finansowych i przedsiębiorstw, szukających w pobliżu miejsca na to, czego nie mogą robić u siebie i okresowo potrzebujących większej ilości pracowników; jest to proces żywiołowy, bezwzględny w swym automatyzmie. Doprowadzić on może do przekształcenia naszej części Europy w swoistą półkolonię z półfabrykatami; do utrzymania a nawet umocnienia dystansu cywilizacyjnego i przekształcenia społeczeństw Międzymorza w upośledzony, drugi gatunek Europejczyków.

#### **4. Groźne, nierealistyczne pomysły**

Zafascynowani dziejącymi się wydarzeniami, ludzie nie dostrzegają ich możliwych konsekwencji, zwłaszcza złych. Wydaje się, że tworzy się nowa rzeczywistość, która pozostanie już niezmienna: Związek Radziecki będzie się ustawicznie rozpadał, Rosja pozostanie bezsilna, a otwarcie na Zachód stanie się równoznaczne z dopuszczeniem naszych społeczeństw do zachodniego dobrobytu. Niestety, wizje takie mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Nie przeszkadza to, że buduje się na tych lotnych piaskach wielkie koncepcje polityczne.

Olśniewa żłuda przyłączenia się do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Ale jest to przecież ugrupowanie szczelnie zamknięte. Wejście każdego nowego kraju, jeśli nie zostanie on dostosowany gospodarczo do integracji, może przynieść poważne szkody Wspólnocie i jej dotychczasowym członkom. Dlatego przyjęcie każdego nowego kraju poprzedzone jest wieloletnimi przygotowaniem; w przypadku takiego kraju jak Polska, okres przystosowawczy musi wynosić ponad dziesięć lat. Opowiadanie, że możemy szybko wejść do EWG jest mydleniem oczu.

Złe by jednak było, gdybyśmy nastawili się na przystąpienie do EWG i zdecydowali cierpliwie czekać, kiedy nam się to uda. Wówczas cały nasz rozwój gospodarczy musielibyśmy z góry podporządkować interesom i potrzebom Wspólnoty Zachodnio Europejskiej. Niestety, oznaczałoby to zgodzenie się na przyjęcie przez



Polskę takiego charakteru gospodarczego, jaki uzupełniałby ekonomikę zachodnioeuropejską. Siłą rzeczy prowadziłyby to do utrzymania surowcowo-energetycznego charakteru naszej gospodarki. Słowem, musielibyśmy pogodzić się z utrzymaniem ekonomiczno-technologicznego dystansu do Zachodu, z wszystkimi społecznymi i cywilizacyjnymi tego skutkami. Ubodzy krewni, dostosowani do wymogów bogatych i dopuszczeni na ich dwór, pozostają ubogimi krewnymi. Jeśli ktoś sądzi, że z racji naszych cierpień, będących następstwem tego, że zachodnie mocarstwa sprzedały nas w Jałcie, Zachód poczuwał się będzie do jakiegoś zadośćuczynienia, jest niepoprawnym marzycielem. Starając się o przyjęcie do EWG z naszej najsłabszej pozycji, musimy być świadomi, że bezwzględnie narzucą nam wszystko, co tylko będzie im potrzebne. W polityce i gospodarce nie ma sentymentów.

To samo dotyczy pomysłów jakiejś unii politycznej. Europa Zachodnia ma wystarczająco dużo kłopotów z jej budową we własnym gronie. Poszerzenie tego procesu o kraje wschodniej Europy jeszcze bardziej komplikuje problem. Oczywiście, może to być korzystne dla któregoś z obecnych głównych członków Wspólnoty, zwłaszcza dla Niemiec. W tym wypadku wchodziłoby do poszerzonego gremium politycznego jako narzędzie jednego z uczestników, wymierzone przeciwko innym. Rola nie do pozazdroszczenia.

Prawda jest taka, że poważnie myśleć o wejściu do politycznej i ekonomicznej Wspólnoty Zachodnio Europejskiej możemy dopiero wówczas, gdy zlikwidujemy główne dysproporcje dzielące nas od niej, wzniesiemy się na zbliżony poziom cywilizacyjny i uzyskamy wystarczającą rangę ekonomiczną i polityczną.

W cieniu czeka jeszcze druga koncepcja, przejściowo niepopularna, ale która może nagle nabrać rumieńców życia. Skoro nie możemy wejść do Zachodniej Europy, to pozostajemy u siebie, w dotychczasowym Obozie, tyle że całkowicie zreformowanym. Jest on ogromny, od Odry do Pacyfiku, pełen wszelkich bogactw naturalnych, ludny i żyzny, a zarazem zintegrowany politycznie i gospodarczo; zintegrowany jeszcze bardziej problemami i kłopotami, które wszędzie są takie same, a co najmniej podobne. Czy więc, wspólnym wysiłkiem, nie rozwiązywać jednolicie tych problemów, czy nie stworzyć na nowo Obozu, tyle że demokratycznego, z ludzką twarzą, a zarazem potężnego geopolitycznie. Wprawdzie wydaje się, że już to mamy za sobą, ale skłonność do tego, aby jeszcze raz zrobić to lepiej jest nieodłączna od natury ludzkiej. W swoistej solidarności rządów obozowych, które w mniejszym czy większym stopniu starają się o maksymalną lojalność wobec Moskwy, zarodki takiej koncepcji są bardzo silne. Zupełnie niedostrzegalnie mogą się one umacniać, wraz z narastaniem coraz to nowych kłopotów spowodowanych dezintegracją starego Obozu i dążeniem reformatorów, aby raczej poprawiać, niż budować od nowa.

Jest to również koncepcja nieszczęsna, nie mająca poza tym szans trwałej realizacji. Te same czynniki, które rozsadziły Obóz komunistyczny, rozsadzają również Obóz quasi-demokratyczny a la mode russe. Niezależnie od tego, że sam pomysł integracji wokół Kremla jest raczej obłędny. Nie przeszkadza to, że wśród pogrobowców PKWN i Romana Dmowskiego nigdy nie zanikła.

## **5. Geopolityczny imperatyw: integracja**

A jednak integracja jest potrzebna. Taka, która nie będzie wynikać z nierealistycznych marzeń czy też uporczywego trzymania się starego, lecz z rzeczywistych, aktualnych interesów poszczególnych krajów.



Rysujący się coraz wyraźniej nowy układ geopolityczny i istniejące podziały cywilizacyjne wskazują jasno na wspólne zagrożenia wszystkich krajów Międzymorza. Groźba ze Wschodu - polityczna, a może polityczno-militarna, dotyczy w równej mierze wszystkich państw naszej strefy, choć najwyraźniej odczuwać ją będą kraje położone w obszarze Niżu Środkowoeuropejskiego, na północ i wschód od Karpat. Zagrożenie z Zachodu - cywilizacyjno-gospodarcze, rozkładać się będzie bardziej równomiernie, lecz zapewne najszybciej da się odczuć w strefie dunajskiej. Jest tylko kwestią czasu, kiedy oba te zagrożenia się ujawnią. Będzie to bardzo silny czynnik spajający.

Wnioski są proste. Kraje Międzymorza, połączone we wspólnym bloku, tworzą wystarczająco wielki potencjał demograficzny, terytorialny i gospodarczy, aby zniwelować zagrożenie ze Wschodu. Same narody Niżu (Bałtowie, Białorusini, Ukraińcy i Polacy) liczą łącznie około 90 milionów, co już od biedy wystarcza wobec 150 milionów Rosjan; wspólnie z narodami strefy dunajskiej i bałkańskiej liczba ta wzrasta do ponad 150 milionów. Współdziałanie całego Międzymorza likwiduje w zarodku jakiegokolwiek rosyjskie możliwości wznowienia ekspansji na zachód.

Podobnie dzieje się w kontekście zagrożenia zachodniego. Wyrównać dysproporcję gospodarczą można tylko w warunkach wielkiego rynku. Taka jest prawidłowość ekonomiczna naszych czasów. U początku rozkwitu gospodarczego Europy Zachodniej znalazł się wspólny rynek. Umożliwiło to zarówno szybki skok technologiczny, jak globalne zwiększenie produkcji i wytworzenie potężnej gospodarki, kompletnej w swych funkcjach produkcyjnych, usługowych i handlowych. Nie chcę wyważać otwartych drzwi, bo sprawa jest oczywista. Kraje Międzymorza w pojedynkę nie są w stanie wytrzymać naporu potężnej gospodarki EWG i będą musiały ulec jej potrzebom i wymogom. Wspólnie mogą się obronić. Wspólnie będą też o wiele ciekawszym i bardziej potrzebnym partnerem dla Dalekiego Wschodu i Północnej Ameryki. W warunkach ostrej rywalizacji handlowej tych dwu obszarów z Europą Zachodnią, Międzymorze może uzyskać uprzywilejowaną pozycję. Pod warunkiem, że zintegruje się gospodarczo; gospodarki poszczególnych krajów są po prostu za małe.

Czynniki obiektywne, wynikające ze wspólnych zagrożeń i potrzeb, skłaniają do integracji. Obok nich występują jednak tendencje przeciwne. Raz już, w początku naszego wieku okazały się one silniejsze. Niepowodzenie koncepcji federacyjnej Piłsudskiego oraz podział strefy dunajsko-bałkańskiej na Małą Ententę i jej przeciwników spowodowały, że po dwudziestu latach względnego spokoju trzeba było dosłownie miesiące, aby całe Międzymorze znalazło się w rękach mocarstw zewnętrznych. Partykularyzmy, zwłaszcza przybierające postać nacjonalizmów, są największym zagrożeniem. Jeśli zdominują one wzajemne stosunki między narodami naszej strefy, katastrofie nic nie będzie mogło zapobiec. Niestety, dają już one bardzo silny znak o sobie. Albańczycy i Serbowie w Kosowie, Węgrzy i Rumunii w Siedmiogrodzie, Węgrzy i Słowacy w Słowacji, ale także Słowacy i Czesi, Polacy i Litwini na Wileńszczyźnie - to główne ogniska zapalne.

Szczęśliwie, nacjonalizmy te nie są już równie silne jak kiedyś. Może najważniejsze znaczenie ma wyraźne ostudzenie, jeśli nie całkowite wygasanie konfliktu polsko-ukraińskiego. Siedemdziesiąt lat temu przesądził on o losie obu narodów; każdy z nich oddzielnie, w odstępnie dwudziestu lat został zniewolony przez Rosję. Chyba nas to czegoś powinno nauczyć. Polacy długo jednak nie mogli



zrozumieć Piłsudskiego, a Ukraińcy Szewczenki. Ogromną zasługę w zmianie tego stanu rzeczy ma wielki ukraiński mąż stanu i prawdziwy przywódca uciemżonego narodu - Jarosław Stećko. Wśród Ukraińców coraz wyraźniej ujawnia się świadomość, że nie ma niepodległej Ukrainy bez niepodległej Polski, zaś Polacy po czasie zaczynają doceniać tezę Piłsudskiego, iż niepodległa Ukraina jest niezbędna dla utrzymania niepodległości Rzeczypospolitej. Budzi to wielkie nadzieje. Ukraińcy i Polacy są najliczniejszymi narodami całego Międzymorza, wspólnie stanowiąc blisko połowę jego łącznej ludności. Dlatego stosunki polsko-ukraińskie mogą przesądzić o powodzeniu całej koncepcji integracyjnej.

Obok nacjonalizmów występują inne partykularyzmy. Na ogół spowodowane są one doraźnymi kwestiami i chwilowymi interesami. Nieraz wynikają z problemów tak drobnych, że aż śmiesznych. Widać to w skłonnościach do zamykania granic, aby chronić wątłe zaopatrzenie rynku. Poważną rolę w umacnianiu i rozwijaniu tych partykularyzmów odrywać mogą kraje zewnętrzne, szukające partnerów dla wzmocnienia własnych pozycji i tworzenia czegoś w rodzaju mini bloków. Obecnie występuje to wyraźnie w projekcie utworzenia tzw. grupy pentagonalnej, obejmującej jeden kraj EWG - Włochy, jeden kraj, który zapewne względnie niedługo znajdzie się w EWG - Austrię, oraz trzy kraje Międzymorza: Jugosławię, Węgry i Czechosłowację. Innym przykładem może być skłonność krajów bałtyckich do Szwecji, zresztą niezupełnie odwzajemniana.

Patrząc realnie, trzeba sobie zdawać sprawę, że wspólne zagrożenia i wspólne interesy w końcu okażą się decydujące. Aby tylko nie za późno. Bowiem świadomość tego geopolitycznego imperatywu wśród polityków naszej strefy jest, niestety, bardzo niska. Dotyczy to wszystkich krajów, lecz szczególnie mocno występuje w Polsce. Zważywszy na rangę Rzeczypospolitej i nasze możliwości polityczne, jest to bardzo niepokojące. Nie wolno bowiem pocieszać się, że obiektywne procesy kiedyś dojrzeją. Konieczne jest, aby czynnie na nie wpływać. Dlatego zaniedbania Warszawy w tej mierze są wyjątkowo groźne.

Rząd Mazowieckiego czuje się chwilami urażony, że jego propozycje, kierowane do Budapesztu i Pragi, zresztą mało konkretne i bardzo ograniczone - nie spotykają się z należyтым odzewem. Dziwne by było, aby się spotykały. Po prostu polityka polska nie jest wiarygodna. Szczęśliwym dla siebie zbiegiem okoliczności rząd Mazowieckiego powstał wcześniej, niż doszło do rewolucji w Niemczech wschodnich, Czechosłowacji i Rumunii oraz nim nastąpiła zmiana władzy na Węgrzech, a także przed zasadniczym zwrotem na Litwie, Łotwie i w Estonii. Dawało to polskiej polityce zagranicznej olbrzymią szansę. Nawet płytka analiza sytuacji musiała prowadzić do wniosku, że po wydarzeniach polskich i w obliczu załamania wewnętrznego ZSRR - kolej przychodzi na inne kraje obozu. Warszawa powinna była wystąpić ofensywnie, z góry opowiadając się po stronie niewolonych narodów i dopomagając im politycznie, a może i gospodarczo. Nie wystarczył życzliwy stosunek, gdy u naszych sąsiadów zaczynało się coś dziać. Trzeba było stanąć na czele całego ruchu wyzwalających się narodów, dopomagać im, budować od początku wspólnotę. Wymagało to odważnych wystąpień wobec Moskwy, pociągało za sobą pewne ryzyko. W istocie bardzo niewielkie, bowiem Kreml mógł najwyżej demonstrować niezadowolenie, a bankrutujące rządy satelickie były już bezsilne. Niestety, tej wielkiej szansy nie potrafiono wykorzystać. Co gorsza, dla polityki Warszawy najważniejsze było zadowolenie Moskwy. Szczególnie jaskrawie



uwidoczniło się to po litewskiej deklaracji niepodległości, gdy polityka polska, nawołując Litwinów do umiaru, w rzeczywistości stała się narzędziem Kremla. Przyniosło to wielką szkodę nie tylko w kontekście przyszłej integracji, lecz również w rozwiązywaniu kwestii polskiej mniejszości na Litwie. To zasługiwanie się Moskwie musiało pozbawiać Warszawę wiarygodności w oczach narodów, które bardziej niż my potrafiły się wyrwać z satelickich więzów.

Ta nieumiejętność skorzystania z szansy równie silnie wystąpiła z okazji kwestii zjednoczenia Niemiec. Gdy powstawał rząd Mazowieckiego, oczywiste było, że likwidacja podziału Niemiec jest tylko kwestią czasu. Niezależnie czy nam się to podobało, czy nie - sprawa była przesądzona. Polityka, która musi opierać się na realiach i tylko realiach, powinna z tego wyciągnąć wnioski. Od dawna już Niemcy zabiegały o poparcie przez Polskę idei zjednoczenia, a chociażby o częściowe zrozumienie - uważając, że jedna z dróg do rozwiązania problemu niemieckiego prowadzi przez Warszawę. Rządy komunistyczne stały niezmiennie na stanowisku zajmowanym przez Moskwę, lecz rząd Tadeusza Mazowieckiego nie musiał. Tymczasem, gdy jesienią 1989 r. kanclerz Kohl przybył do Polski, premier Mazowiecki nie wyszedł poza przypominanie o rzekomo wspólnej walce Polaków i Niemców przeciwko dyktaturze Hitlera i rozważanie moralnych aspektów pojednania. Podjęcie wówczas kwestii zjednoczenia Niemiec i poparcie stanowiska Bonn w tej sprawie wywołałoby wprawdzie wściekłość Honeckera i niezadowolenie Gorbaczowa, lecz niewiele to mogło nam zaszkodzić. W zamian łatwo mogliśmy otrzymać nie tylko absolutne uznanie granicy polsko-niemieckiej, lecz także korzystne dla nas rozwiązanie kwestii z nią związanych, takich jak problem zatoki Pomorskiej i poprowadzenia granicy niemieckich wód terytorialnych (i dna morskiego) na zachód od toru wodnego prowadzącego z północy do Świnoujścia, a także problemu emisji gazów przez granicę z łużyckich elektrowni opalanych węglem brunatnym. Inną kwestią są odszkodowania niemieckie dla Polski i obywateli polskich, których nigdy w należnym nam rozmiarze nie otrzymaliśmy. Można wyliczyć jeszcze parę podobnych problemów, w tym pomoc gospodarczą, kwestie mniejszościowe (także: Polacy w Niemczech) i swobodę wyjazdów. Nikt nie ma chyba wątpliwości, że w październiku 1989 r. Kohl podjął by we wszystkich tych sprawach najdalej idące zobowiązania, aby tylko uzyskać polskie poparcie dla zjednoczenia. Niestety, nie skorzystano z tej szansy - i nie korzystano przez długie miesiące, gdy zjednoczenie Niemiec zbliżało się wielkimi krokami. Szanse uzyskania korzyści dla Polski malały wprawdzie z każdym miesiącem, ale zanikły dopiero wraz ze zjednoczeniem. Nasza polityka nie uzyskiwała w tym czasie nawet traktatowych gwarancji granicznych (choć dojdzie do nich i bez naszych nalegań), a nieprzemyślane deklaracje o rzekomym zagrożeniu, wymagającym pozostania wojsk radzieckich w Polsce - przeniosły nam tylko niewątpliwą szkodę.

## **6. Ku jedności Europy**

Integracja Międzymorza będzie zadaniem trudnym, zapewne tym trudniejszym, im później się do niej zabierzemy. Jedno jest niewątpliwe: trzeba bardzo skrupulatnie przestrzegać niezależności wszystkich krajów i cierpliwie budować taki system, który zyska akceptację wszystkich. Próba dominacji, narzucania innym rozwiązań jest niedopuszczalna. Wiele dopomogą nam doświadczenia Zachodniej Europy, która już ponad trzydzieści lat, licząc od traktatu rzymskiego z 1958 r. buduje swoją jedność.



Wydaje się, że my również powinniśmy zaczynać od wspólnego rynku i wspólnej polityki obronnej. Formy integracji mogą być bardzo różne i nie jest powiedziane, że od razu dotyczyć one powinny wszystkich krajów. Na pewno niektóre odczuwać będą potrzebę szczególnych związków (np. państwa bałtyckie), stanowiących jakby integrację w integracji. Inne kraje pozostaną przy luźniejszej formule. Z góry można przewidzieć, że będzie występowała tendencja do organizowania się dwu podukładów: północnego (Niż) i dunajsko-bałkańskiego; może nawet będzie ich trzy.

Postępy integracji wymagać będą czasu. Zapewne przebiegać będzie ona z grubsza w formach i fazach, znanych nam z budowy Wspólnoty Zachodnio Europejskiej, choć na pewno będzie miała własną specyfikę. Tak czy inaczej, torować drogę powinna integracja gospodarcza, ale względnie szybko, dla rozwiązywania wspólnych problemów potrzebne będą instytucje polityczne: Rada Międzymorza, później parlament. Kluczowe znaczenie ma przepuszczalność granic wewnętrznych; im słabiej będą zarysowane, a ludzie uzyskają całkowitą możliwość poruszania się i osiedlania, gdzie się komu podoba - tym szybciej zanikać będą naprężenia wewnętrzne.

Jeśli procesy integracyjne nie zostaną szybko rozpoczęte, z groźną siłą ujawniać się będą niebezpieczeństwa zewnętrzne i wewnętrzne. Najpierw ujawni się zagrożenie gospodarcze z Zachodu: szybko umacniająca się dominacja gospodarcza, przekształcanie krajów Międzymorza w strefę upośledzoną i ekonomicznie zależną. Wkrótce potem pojawi się zagrożenie ze Wschodu. Jeśli nawet ZSRR się rozpadnie, to pozostanie Rosja. Zagrożenie to nie wystąpi dopiero wówczas, gdy wyjdzie ona z kryzysu i odbuduje swoją siłę. Daje ono o sobie znać już dziś, gdy Moskwa z takim uporem stara się utrzymać zachodnie republiki w ramach jednego państwa, choćby federalnego. Pamiętać bowiem musimy, że gdy Rosja utrzyma związki państwowe z Ukrainą i Białorusią, będzie to otwarcie drogi do przyszłej rosyjskiej ekspansji zachodniej. Pod względem geopolitycznym przynależność dorzecza Dniepru decyduje o stosunku sił między Rosją a Międzymorzem; pod względem geostrategicznym otwiera - lub zamyka - drogę Rosji na zachód.

Równocześnie wystąpią niebezpieczeństwa wewnętrzne; spory i konflikty poszczególnych krajów, napięcia narodowościowe, kłopoty gospodarcze. Powodować to będzie dalsze osłabienie całej strefy i zmniejszanie jej zdolności obronnych przed zagrożeniami zewnętrznymi.

Od powodzenia integracji zależy nasze być albo nie być. Po prostu żaden z naszych krajów w pojedynkę nie ma wystarczającej szansy. Na wschód od nas przetrwa Rosja, na zachód kształtuje się kolos gospodarczo-polityczny. Naiwne byłoby przypuszczenie, że między tymi wielkościami jest miejsce na małych i średnich. W czasie historycznym, w którym żyjemy, takiego miejsca nie ma. Bez integracji tej strefy nasz los znajdzie się pod znakiem zapytania.

Integracja decyduje nie tylko o naszej przyszłości. Jest ona niezbędna dla Europy. Wspólnota Międzymorza umożliwi względnie szybkie - w kilkanaście czy dwadzieścia parę lat - wyrównanie dysproporcji gospodarczych i cywilizacyjnych między nami a zachodnią częścią kontynentu. Jest to warunek niezbędny, aby w nadchodzącym stuleciu dokonać zjednoczenia całej Europy.



## IV. Program dla Polski

### 1. Rekonstrukcja państwa

Doświadczenia Drugiej Rzeczypospolitej są bezlitosne: Polska mogła odrodzić się jako niepodległe państwo, bo Polacy potrafili wykorzystać katastrofalne klęski mocarstw zaborczych, ale musiała upaść po dwudziestu latach, gdy ościenne mocarstwa odbudowały swą siłę. Piłsudski był świadom swej klęski już w dwudziestym roku; niepowodzenie jego koncepcji federacyjnej przesądziło, że samotna Rzeczpospolita będzie zbyt słaba, aby obronić i siebie, i nowy porządek w tej części Europy. Ten sam mechanizm działa i dzisiaj. Integracja Międzymorza jest jedynym gwarantem trwałości bytu państwowego wyzwających się dzisiaj narodów i otwiera drogę do przyszłej stabilizacji w warunkach wolności i dobrobytu całej zjednoczonej Europy. Pamiętając o tym wszystkim, nie wolno nam zapomnieć, że dla nas, Polaków, na początku wszystkiego jest rekonstrukcja naszego państwa. Bez silnej i rozumnej Rzeczypospolitej wszystkie programy integracyjne nie mają perspektywy. Musimy ułożyć nasze sprawy, aby być atrakcyjnym partnerem dla innych; musimy być silnym i wiarygodnym partnerem, aby objąć wiodącą rolę w procesach integracji. A zresztą i bez tego musimy wreszcie rozwiązać nasze problemy i spowodować, aby kraj nad Wisłą nadawał się do normalnego życia.

Pierwszym celem musi być rekonstrukcja państwa. Jest to ciągle problem niedoceniany. Niektórym wydaje się, że wystarczy byle jaka państwowość, aby tylko granice były wytyczone i działała władza. Dlatego tak łatwo pogodzono się z kontynuacją PRL. Zmieniono tylko nazwę, inni ludzie stoją na czele rządu i wszystko gra! Widzimy, jak bardzo nie gra.

Państwo jest najwyższą znaną historycznie formą organizacji społeczeństwa. Tworzące się wspólnoty ponadnarodowe obejmują odrębne i w swych zasadniczych kompetencjach niezależne państwa; być może z czasem wspólnoty te przekształcą się w państwa związkowe - ale zawsze tym zasadniczym czynnikiem będzie państwo. Tworzy ono podstawową ramę, pozwalającą na realizowanie wspólnych potrzeb i aspiracji obywateli. Od jakości państwa, jego instytucji i urzędzeń zależy jakość i powodzenie rozwiązywania wspólnych problemów. To oczywiste.

Państwo nie jest jednak tylko machiną do załatwiania wspólnych spraw. Przedstawia sobą wysokie wartości moralne i emocjonalne. Ludzie oddają swoje życie, całe narody gotowe są wystawić na ryzyko swoje dalsze istnienie, aby tylko obronić swoje państwo. Rozpaczliwe wysiłki dziesięciu pokoleń Polaków walczących o niepodległość uświęciły Rzeczpospolitą. Wysoki walor moralny państwa daje mu autorytet, absolutnie niezbędny, aby państwo mogło funkcjonować. Trafnie pomyślane mechanizmy i instytucje zapewniają dobre funkcjonowanie.

Tymczasem w Polsce państwo pozbawione jest tych dwu czynników: nie ma autorytetu moralnego i zbudowane jest niefunkcjonalnie. Jak ma posiadać autorytet, gdy zostało narzucone Polakom jako forma rosyjskiego i zarazem sowieckiego władztwa nad Polską i - pod każdym innym względem nieudolne, tę funkcję przez dziesięciolecia wypełniało bez zarzutu. Niski autorytet miało Królestwo Kongresowe, narzucone Polsce na Kongresie Wiedeńskim; Polacy powstali, aby je obalić i zastąpić własnym. Niski autorytet miało Królestwo Polskie, powołane manifestem dwu cesarzy z listopada 1916; w listopadzie 1918 nikt go nie zamierzał kontynuować, przystąpiono



do tworzenia od postaw Rzeczypospolitej. Przywrócenie niepodległej, własnej państwowości polskiej ma niewyobrażalnie wielki wymiar moralny i polityczny. Umieszcza ludzi w zupełnie nowej rzeczywistości, zaspokaja potrzeby pokoleń. Jest ozdrowieńczym wstrząsem, daje wszystkim świadomość dokonania zasadniczego przełomu.

Przemiany w Polsce, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich dwu lat, ograniczyły się do zastąpienia jednej władzy przez drugą. Państwo pozostało to samo. Co gorsza, ma być kontynuowane. Pod oszukańczymi pozorami. Zamierza się uchwalić nową konstytucję w oparciu o przepisy stalinowskiej konstytucji z 1952 r. i już dziś się mówi że będzie kolejną w takim oto fałszywym rządzie polskich konstytucji: majowej 1791, marcowej 1921, kwietniowej 1935 i lipcowej 1952. Lipcowej? Skoro nie umieszczamy w tym ciągu, i słusznie, ani konstytucji Księstwa Warszawskiego, ani Królestwa Kongresowego, ani mikołajewskiego Statutu Organicznego z 1832 r., to dlaczego wciska się stalinowskiego potworka? Nowy Prezydent ma kontynuować urząd poprzedników: Jaruzelskiego i Bieruta, przy czym stwierdza się, że ten ostatni był następcą Prezydentów RP Władysława Raczkiewicza, Ignacego Mościckiego - i tak dalej. Ale przecież w liście królów polskich nie wymieniamy Romanowych, Aleksandrów i Mikołajów, choć również oni posługiwali się tym ukradzionym tytułem. Mówi się, że mamy w Polsce od czterdziestu pięciu lat Trzecią Rzeczpospolitą, a numerując je wzorem francuskim od kolejnych konstytucji, zapowiada się, że zostanie ona przekształcona w Czwartą Rzeczpospolitą. Małość i wręcz podłość tych uświęcicieli PRL wywołuje obrzydzenie.

Rzeczpospolita jest synonimem niepodległego, obywatelskiego państwa; dlatego nikomu nie przyszło do głowy nazwać Drugą Rzeczpospolitą Księstwa Warszawskiego, które pięknie zapisało się w naszej historii, ale nie było ani niepodległe, ani obywatelskie. Tyle Rzeczypospolitych, ile niepodległości. Miejmy nadzieję, że trzy - wraz z tą przyszłą - wystarczą w całej naszej historii. Otóż sprawą najważniejszą jest odcięcie się od PRL, istniejącego obecnie, bez względu na to jaką nazwę chwilowo nosi ten nędzny twór - i odrodzenie niepodległego państwa polskiego, właśnie Trzeciej Rzeczypospolitej.

Niezależnie od nieprawego pochodzenia i braku autorytetu moralnego PRL, państwo to funkcjonalnie jest również nie do przyjęcia. Zostało ono zaprojektowane jako narzędzie zniewolenia Polaków i poddania ich rygorom totalitarnego systemu. Dążenie do zniewolenia przejawia się nie tylko w ustroju politycznym i strukturach władzy, ale również w całym gąszczu zobowiązań międzynarodowych i nierówno prawnych układów, które całkowicie oplotły Polskę i dają o sobie znać na każdym kroku. Musi to być odrzucone.

Ustrój PRL pomyślany został tak, aby główne narzędzie władztwa moskiewskiego PPR/PZPR dzierżyło całkowitą władzę, nieformalnie - a od zmiany konstytucji w 1975 r. także formalnie. Wszystkie urzędy i instytucje państwowe, gospodarcze, samorządowe itd uzależnione zostały bezpośrednio od aparatu partyjnego i dodatkowo zostały poddane kontroli wewnętrznej przez organizacje partyjne. System nomenklatury - wielopłaszczyznowej transmisji centralnych decyzji - umożliwił funkcjonowanie całej, najszerzej pojętej maszyny państwowej.

Widzimy, co się dzieje. PZPR straciła władzę i rozpadła się, nomenklatura straciła rację bytu. Ale przecież pozostała. Co więcej, jeśli dawni aparatczycy usuwani są ze stanowisk, ich funkcje przejmują inni. Coraz wyraźniej widać, jak nowa



nomenklatura zastępuje starą. Niektórzy wiążą z tym hipotetyczny zamiar tworzenia przez OKP Geremka i rząd Mazowieckiego nowej monopartii. Ale przecież Wałęsa również zapowiada, że nowymi ludźmi zastąpi starą nomenklaturę. Powszechna skłonność do zachowania systemu? Może tak, a może nie. Jedno jest niewątpliwe. Aby mogło działać to państwo, w którym ciągle żyjemy, niezbędne jest utrzymanie pozarządowego ośrodka władzy i podległego mu systemu nomenklatury, a może nawet niezbędne jest istnienie monopartii. Inaczej poszczególne ogniwa życia państwowego, gospodarczego, administracji centralnej, terenowej, samorządów nie są w stanie w sposób skoordynowany działać.

To pierwsza kwestia. Ale jest i druga. PRL to państwo totalitarne. Różni się ono zasadniczo od państw demokratycznych, choćby takich jak zachodnioeuropejskie. Jest to różnica celów i treści politycznych, ale także jest to różnica funkcjonalna. Państwo totalitarne dąży do tego, aby kontrolować każdy przejaw życia społecznego, a także indywidualnego. W tym celu tworzy niesłychanie rozbudowane struktury, których nie znają - bo nie potrzebują, państwa demokratyczne. W konsekwentnie zbudowanym państwie totalitarnym na każdego powinien przypadać jeden kontroler, ale na każdego kontrolera - jeszcze jeden kontroler, i tak dalej. Niedopuszczalna jest inicjatywność inna, niż inicjatywność centrali; każda odmienna może być albo projektem, przedstawionym do akceptacji, albo przestępstwem (które może być tolerowane, a kiedy trzeba - ukarane). Każda aktywność, nawet w dziedzinie politycznie obojętnej, musi być uprzednio zgłoszona, ujęta w ogólnym planie i zaakceptowana, a jej przebieg - nadzorowany i korygowany.

Totalitaryzm został w Polsce rozbity. Nie mamy totalitarnej władzy. Ale pozostały struktury totalitarnego państwa. Często zupełnie puste, pozbawione treści, nie spełniające żadnych funkcji - takie martwe kikuty, które jednak istnieją i potrzebują pieniędzy na swe utrzymanie. Przykładów - tysiące. Posłużmy się zgoła niewinnym. Celem podporządkowania państwu rozmaitych przejawów aktywności i zainteresowań kulturalnych obywateli, stworzony został potężny i skomplikowany system kierowania kulturą, obejmujący m.in. sieć kilku tysięcy domów kultury. Otóż dowiadujemy się aktualnie, że nie starcza na nie pieniędzy; to znaczy starcza na samo utrzymanie budynku, na pobory dyrektora, sekretarki i sprzątaczk. Na nic innego, a zwłaszcza na działalność - środków już nie ma. Pozostała pusta i martwa struktura organizacyjna tzw. masowej kultury; na nic nie jest potrzebna, ale jest.

Można to powiedzieć praktycznie o całym państwie: nie spełnia (na szczęście!) funkcji do których zostało powołane, a nie jest w stanie spełniać funkcji, które powinno.

Dotyczy to nie tylko bezpośredniej struktury państwowej, ale całej budowy życia publicznego, którą odziedziczyliśmy po totalitaryzmie. Jeśli chcemy zaprowadzić w Polsce demokrację, sama podstawowa struktura życia publicznego musi być pluralistyczna. Wymaga to pluralistycznych środków masowego przekazu i partii politycznych.

Partie są niezbędne dla funkcjonowania współczesnej demokracji, która ma charakter pośredni. Obywatele wyrażają swoją wolę przez wybieranie jednej z różnych propozycji programowych. To właśnie zadaniem partii jest tworzenie alternatywnych programów i proponowanie osób, które zdolne są te programy zrealizować. Wolna prasa, pluralistyczna i reprezentująca wszystkie opcje, środki masowego przekazu informujące bezstronnie o wszystkich alternatywach - są niezbędne, aby obywatele



wiedzieli, między czym mogą wybierać i świadomie dokonywali wyboru. Przy czym nie mam na myśli tylko sformalizowanych wyborów, np. parlamentarnych czy prezydenckich, ale te codzienne wybory, kiedy ludzie dokonują oceny rzeczywistości, a miliony takich zindywidualizowanych ocen łączą się w jedną wielką opinię publiczną, wpływającą bezpośrednio na sprawowanie rządów. Bez partii politycznych i bez wolnej prasy obywatel nie ma tych możliwości, nie wie, między czym może wybierać - czyli demokracja nie funkcjonuje.

W odziedziczonym po komunistach systemie nie ma miejsca na pluralizm polityczny i wolną prasę. Dlatego tak łatwo zaadaptował się w tej rzeczywistości nowy hegemon - ruch Komitetów Obywatelskich, zaś podział tego ruchu na PC i ROAD odbił się prawie natychmiast kryzysem władzy. Ciągłe jeszcze poważnie głoszone są poglądy, że bez partii politycznych można się obejść, bo wystarczy jeden masowy, wszechogarniający ruch - czyli „Solidarność”, a wszystkie opcje polityczne zmieszczą się w Komitetach Obywatelskich, zdolnych wybrać najlepsze rozwiązania.

Demokrację, w której wybierają wszyscy obywatele, zastępuje się elitaryzmem, w którym najlepsi i najmądrzejsi, połączeni w Komitety Obywatelskie, sami potrafią wybrać. Można to oczywiście nazwać pluralizmem, i nazywa się pluralizmem - skoro w Komitetach Obywatelskich mogą ścierać się różne poglądy. Bardzo to jednak kaleki pluralizm, przypominający raczej frakcyjność czy też zwykłe partykularyzmy. Podobnie w środkach masowego przekazu: panuje wielka swoboda wypowiedzi w telewizji, tak wielka, że w pewnej proporcji dopuszczane są nawet opinie niesłuszne - ale zarazem informuje się uporczywie, nieprawdziwie i wbrew wszystkim faktom, że istnieje tylko jeden program gospodarczy, że jest on doskonały, a choćby nie był, musimy go wykonywać, bo nie ma alternatywy.

Nie wynika to tylko ze złej woli, z przyzwyczajenia poprzednich dziesięcioleci, ze sposobu myślenia wpojonego marksistowską edukacją. W takim systemie ustrojowym, jaki ciągle egzystuje w Polsce, wszystko zmierza do istnienia jednego hegemonu i politycznych komitetów powołanych w celu uzgadniania stanowisk i dochodzenia do jednego, jedynie słusznego programu. Nawet jeśli się z tym walczy, wyniki są mizerne. Nawet jeśli chce się poszerzyć spektrum naszego życia politycznego, okazuje się to niemożliwe. Instytucje, przepisy, przyzwyczajenia, podzielone środki materialne - wszystko działa przeciw. Nawet bez złej woli rządzących nie mógłby powstać system wolnej prasy, ani nie mogłyby się rozwijać normalnie partie polityczne. System totalitarny nie pozostawił na to wszystko miejsca - i nie ma tego miejsca, albo jest wrywane, jak przez KPN, na poły rewolucyjnymi metodami. Dawny monopol prasowy PZPR - koncern RSW - teraz przejął rząd i sam go użytkuje, albo rozdaje po politycznym uważaniu. Infrastruktura polityczna, która służyła ongiś sile przewodniej i jej transmisjom do mas, jeśli została odebrana, trafiła do rąk państwa. Jak nie było, tak nie ma infrastruktury, na której można byłoby zbudować niezależne od rządu, albo od starych układów, pluralistyczne życie polityczne. Jeśli wreszcie, po blisko roku prób i przymiarek uchwalona zostaje ustawa o partiach, to prawie całkowicie poświęcona jest temu, jak partię rozwiązać i czego jej nie wolno, ale brak nawet wzmianki, że partie są niezbędne dla funkcjonowania demokracji. Zza ustawy prześwieca stara wrogość do wszystkiego, co może być różnorakie i inne; tak jak byśmy słyszeli: skoro już musimy dopuścić to zło, ograniczmy je jak najbardziej. Przecież to nie posłowie i senatorzy, uchwalający tę



ustawę tak myśleli, a przynajmniej nie wszyscy; to cały system totalitarnego państwa broni się w taki sposób.

Wszystko: godność narodu, potrzeba autorytetu państwa, możliwości funkcjonowania jego struktur, potrzeby społeczne i interes obywatela domagają się, aby odrzucić w całości i bez żalu to państwo, które gnębiło nas przez dziesięciolecia, a teraz stało się kulą u nogi.

Konieczna jest rekonstrukcja niepodległego państwa polskiego.

Najprostszym i najbardziej obiecującym tego sposobem jest zwykle przywrócenie faktycznego obowiązywania na terytorium kraju Konstytucji Polski Niepodległej - legalnej i obowiązującej do dzisiaj ustawy konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 r.

Konstytucja Kwietniowa stosowana była w Polsce do chwili najazdu niemiecko-sowieckiego we wrześniu 1939 r. W 1945 r. Stalin, okupując zbrojnie Polskę i doprowadzając do dyktatu jałtańskiego, uniemożliwił jej przywrócenie i w ogóle odbudowę niepodległej polskiej państwowości. Wielkim celem, który przyświeca nam od pięćdziesięciu jeden lat, jest przywrócenie prawdziwej, niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. W sensie prawnym oznacza to przywrócenia Konstytucji Kwietniowej, a więc powrót do naszego państwa, rozbitego przez Hitlera i Stalina. Powrót choćby na jeden dzień.

Ma to olbrzymie znaczenie moralne. Polakom należy się ta satysfakcja, że po latach walki i cierpienia odzyskujemy, co nam odebrano, przywracamy nasze własne państwo. Jest to jedynie dopuszczalne, bo jedyne godne i uczciwe zamknięcie całego ponurego okresu klęski i zniewolenia. Jest to równocześnie najbardziej właściwe rozpoczęcie nowej, da Bóg niekończącej się epoki wolności i niepodległości. W naszych współczesnych dziejach trzeba postawić ten milowy słupek. Polakom w kraju, i tym na uchodźstwie, którzy nigdy się nie ugięli - jest to potrzebne.

Przywrócenie Konstytucji Polski Niepodległej ma trudne do przecenienia znaczenie praktyczne. Za jednym zamachem przekreślamy cały PRL i wchodzimy w ciąg państwowy Rzeczypospolitej. Oznacza to, że wracamy do konkretnego państwa, z jego charakterem politycznym i miejscem w politycznym świecie, a więc także ze zobowiązaniami międzynarodowymi. Oznacza to również, że cały ten splot uzależnień i podporządkowań, zobowiązań i służebności, jaki nosi na sobie do dziś dnia PRL - automatycznie przestaje istnieć. Daje to naszemu państwu zupełnie inną sytuację międzynarodową. Przywracamy stan prawno-międzynarodowy sprzed półwiecza.

Zobowiązania PRL przestają nas obowiązywać, lub też obowiązują o tyle, o ile to suwerenną decyzją Rzeczypospolitej potwierdzimy. Oczywiście, bardzo wiele wymagać będzie potwierdzenia, np. przynależność Polski do ONZ, zobowiązania dotyczące stosowania Konwencji MOP czy Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, równoprawne układy handlowe, które są w stanie realizacji, uczestnictwo Polski w międzynarodowej akcji w związku z aneksją Kuwejtu - i tak dalej. Oczywiście wiele zobowiązań i układów nie zostanie potwierdzonych, jak np. gwarancje wieczystego sojuszu, czyli nierówno prawna umowa z ZSRR o tzw. przyjaźni z kwietnia 1945 r., później wielokrotnie przedłużana. Musi ona być zastąpiona nową umową - o normalizacji stosunków polsko-radzieckich i wyrównaniu wszystkiego tego, czego doświadczyliśmy w ciągu minionych lat; umową, która będzie uzupełnieniem wcześniejszych porozumień Warszawy z Moskwą, zawieranych przed wrześniem 1939 r.



Wiele zobowiązań, podjętych przez PRL, będzie trzeba renegecować i być może uznać za dopuszczalnych dla nas warunkach. Warunkiem stanie się inicjatywa drugiej strony, która wystąpi o renegecacje. Dotyczy to zwłaszcza naszego zadłużenia zagranicznego. Nie przejmujemy go automatycznie; wręcz przeciwnie, automatycznie przestanie ono istnieć. W uzasadnionych i zgodnych z naszym interesem przypadkach mogliśmy uznać istnienie długu i określić warunki jego spłaty. Na pewno nie uznajemy zadłużenia za rury o wielkich przekrojach, które na polecenie Breżniewa Gierek kupił dla Związku Radzieckiego, ani długu za hełmy i tarcze dla ZOMO oraz aparaty podsłuchowe dla SB.

Słowem, w kategoriach prawnomiędzynarodowych na miejsce obecnego, pojawi się nowe - a raczej stare państwo. W kategoriach wewnętrznych kwestie będą bardziej skomplikowane. Choćbyśmy bardzo tego chcieli, nie można przywrócić stanu prawnego z 31 sierpnia 1939 r. Od tego czasu życie biegło naprzód - i trzeba to uszanować. Dlatego, po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. w Rzeczypospolitej jeszcze przez wiele lat stosowano systemy prawne państw zaborczych, a synowie i wnukowie carskich generałów, którym dano majątki skonfiskowane Polakom za udział w powstaniu styczniowym - nie zostali z nich wyrzuceni. Obecnie musimy postępować podobnie, choć lepiej niż po 1918 r. Utrzymując w zasadzie istniejący stan rzeczy, musimy go szybko korygować, w tym rekompensując szkody przeszłości. Pod niektórymi względami przywrócenie Konstytucji Kwietniowej da nam stan całkowicie nowy. W szczególności dopiero od tego momentu zacznie biec przedawnienie przestępstw, których ściganie w PRL było niemożliwe albo utrudnione: zdrady ojczyzny, mordowania Polaków, rabunku polskiego mienia, doprowadzenia kraju do obecnego strasznego stanu.

W Polsce dokonane zostanie mniej więcej to, co stało się z Niemcami wschodnimi w chwili zjednoczenia: znalazły się w państwie zupełnie nowym, ale przecież istniejącym od dawna, z prawną ciągłością daleko wstecz.

Przywrócenie Ustawy Konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 r. stworzy solidną bazę ustrojową, na której zbudować będzie można stabilne, skuteczne i praworządne, a przede wszystkim demokratyczne państwo. Również za jednym zamachem usunięty zostanie system PRL, z jego dążnością do rządzącej monopartii, nomenklatury, brakiem miejsca na pluralizm polityczny i rozbudowanymi do niesamowitych rozmiarów, niesłychanie kosztownymi strukturami biurokratycznymi.

Podnoszą się jednak głosy, że Konstytucja Kwietniowa jest niedemokratyczna. Głosy najzupełniej wytłumaczone, skoro przez minione 45 lat komunistyczna propaganda obrzucała Konstytucję błotem i stawiała jej wszystkie możliwe zarzuty. Powoływano się przy tym - nieuczciwie - na opozycję przedwojenną, która krytykowała Konstytucję. To prawda, krytykowała, co nie przeszkodziło krytykom Konstytucji stanowczo jej bronić, gdy po klęsce wrześniowej dawna opozycja (z prawa i z lewa) przejęła ster rządów na emigracji. Przypomina to postawę Francois Mitterranda, który tak długo był gorącym przeciwnikiem konstytucji V Republiki, aż sam został prezydentem. Dziś uznaje konstytucję, po paru drobnych poprawkach, za dobrą i nie wymagającą zmiany. Zresztą, niemal powszechnie na świecie konstytucję francuską uważa się za może najlepszą z dwudziestowiecznych konstytucji. Warto więc przypomnieć, że wzorowała się ona właśnie na polskiej Konstytucji Kwietniowej, której gen. de Gaulle był wielkim admiratorem. Dodajmy wreszcie, że we współczesnych polskich debatach konstytucyjnych zdecydowana większość opowiada



się za skorzystaniem z wzoru francuskiego; jeśli tak, skąd wrogość do jej pierwowzoru?

Konstytucja Kwietniowa krytykowana była przede wszystkim za to, że wprowadzała system prezydencki, wówczas mało znany i stosowany w Europie. Przeciwwstawiano go systemowi słabego prezydenta i nadzorującego całkowicie władzę wykonawczą parlamentu, jaki za francuską konstytucją 1875 r. zastosowano w Konstytucji Marcowej. Dziś na tym samym systemie oparta jest konstytucja włoska, gdy na prezydenckim - francuska. Nikt przytomny nie twierdzi, że jedna jest bardziej demokratyczna od drugiej, ale mało kto - Włochów nie wyłączając - nie zdaje sobie sprawy, że francuska jest znacznie lepsza. W Polsce obowiązuje dzisiaj system prezydencki, a powszechne wybory prezydenckie przesądzają, że utrzyma się on na stałe. Pomijając więc opinie ludzi, których przez 45 lat wprowadzano w błąd, można powiedzieć, że ci, którzy wiedzą, dlaczego przeciwstawiają się przywróceniu Konstytucji Kwietniowej, czynią to nie ze względu na jej treść, lecz istotę i sens polityczny przywrócenia, oznaczającego bezpardonowe przekreślenie PRL.

Wreszcie można się zgodzić, że niektóre postanowienia Ustawy z 23 kwietnia 1935 r. są niedobre czy też zestarzały się. W czym problem? Tym samym aktem prawnym, który przywróci Konstytucję, można do niej wprowadzić wszystkie potrzebne poprawki. Ostatnio ukazał się, wydany przez Wydawnictwo Polskie, pełen tekst Ustawy Konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 r., według oryginału, przechowywanego w Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP na uchodźstwie w Londynie. Obok tego tekstu przedstawiliśmy obszerny zestaw proponowanych przez nas poprawek; nic nie przeszkadza, aby wprowadzić jeszcze dalsze.

Wyżej napisałem, że Konstytucję Kwietniową należy przywrócić choćby na jeden dzień. Wystarczy to bowiem, aby przekreślić dalsze istnienie PRL i zrzucić z Polski to całe obciążenie minionych 45 lat. Potem można uchwalić nową Konstytucję, a chociażby tymczasową małą Konstytucję; będzie ona następczynią Kwietniowej.

Nie sądzę zresztą, aby z opracowaniem nowej Konstytucji trzeba się było spieszyć. Sam przygotowałem propozycje ustroju politycznego, zawarte w pracy „Trzecia Rzeczpospolita”, która ostatnio ukazała się na rynku wydawniczym. Myślę, że będą i inne. Pracują komisje konstytucyjne Sejmu i Senatu. Wszystko to trzeba przemyśleć bez zbędnego pośpiechu, przedstawić ludziom, przedyskutować. Niech trwa i parę lat. Lepiej dłużej, niż gorzej. Do tego czasu wystarczająco będzie nam służyła Konstytucja Kwietniowa.

Jeszcze jedno. Przywrócenie Konstytucji - to przywrócenie władzy w Kraju legalnego Prezydenta RP, Pana Ryszarda Kaczorowskiego, przebywającego na uchodźstwie w Londynie. Wróci on do kraju, aby wypełnić swój obowiązek i spełnić największe pragnienie swego życia: przekazać urząd i wszystkie insygnia państwowości Rzeczypospolitej w ręce Sejmu, wybranego w wolnych i nieskrępowanych wyborach, albo w ręce elekta, wybranego przez tenże Sejm, lub przez naród. Ten moment przekazania urzędu, czyli połączenia prawnej ciągłości Rzeczypospolitej z wyrażoną w wyborach wolą narodu będzie prawdziwym końcem wojny i niewoli, dniem oczekiwanego od półwiecza polskiego zwycięstwa.

## **2. Między totalitaryzmem a demokracją**

Żeby mogło dojść do rekonstrukcji niepodległej państwowości, musi najpierw nastąpić w Polsce przełom polityczny.



Stan przejściowy, w którym znajdujemy się już drugi rok, zawiesza nas między totalitaryzmem a demokracją, oraz między satelickością a niezawisłością. Wraz z rozpadem PZPR upadł totalitaryzm, wraz z kryzysem ZSRR - groźba utrzymania nas w obozie siłą. Ale nie wprowadzono jeszcze demokracji, bo ta zaczyna się dopiero w chwili oddania całej władzy w ręce społeczeństwa, my zaś mamy wybory parlamentarne nadal przed sobą. I Polska nie stała się rzeczywiście niezawisła – niestety.

System totalitarny w Polsce został zastąpiony dość szczególną hybrydą, która nadal nosi wszystkie cechy dwuwładzy. Są dwa ośrodki, emanujące władzę. Stosunek sił i znaczenia między nimi ustawicznie się zmienia, ale ciągle pozostają oba - i oba mają nadzieję, że również w jakiejś nowej, przeobrażonej konfiguracji utrzymają swój zasadniczy wpływ.

Charakterystyczne, że oba te ośrodki są trudne do określenia i zdefiniowania. Pozostają amorficzne. Niby wiadomo, kto do nich należy i odgrywa dominującą rolę, a niby nie. Niejasny jest co najmniej tryb podejmowania decyzji i do reszty nie wiadomo, kto w różnych zmiennych gremiach zawsze uczestniczy. Każdy z tych ośrodków jest jakoś nieuchwytny, mgławicowy, nieskory do ujawniania własnych celów, zamiarów i programów, a nawet zachowuje się tak, jakby go nie było. A jednak jest, podejmuje decyzje określające działania państwowe w makro i mikroskali, strzeże swej pozycji i swych uprawnień.

W sumie jest to system Okrągłego Stołu.

Przypomnijmy w czym rzecz.

Przed blisko dwunastu laty, w „Rewolucji bez rewolucji” postawiłem pytanie: program ugody, czy program niepodległości? Zarzuciłem lewicowemu skrzydłu ówczesnej demokratycznej opozycji, skupionemu wokół KSS „KOR”, że dąży ono do porozumienia z frakcją PZPR, zwaną liberalną czy pragmatyczną, aby wspólnie zreformować socjalistyczną PRL i wspólnie rządzić Polakami, oczywiście w ramach obozu. Przeciwwstawiłem temu program niepodległości: rozbicia władzy PZPR, wyrwania się spod hegemonii Moskwy, zbudowania na miejscu PRL niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej.

Mimo, że moja krytyka programu ugody była udokumentowana tym, co głosili przedstawiciele skrzydła lewicowego, spotkałem się z zarzutami, że przesadzam, bo ludzie z KSS „KOR” żadnego porozumienia z liberałami z PZPR nie zawarli. Co więcej, podczas stanu wojennego stali się przedmiotem takich samych represji, jak ludzie nurtu niepodległościowego (których represje dotknęły jednak wcześniej). To prawda. Do porozumienia wówczas nie doszło. W swej krótkowzroczności, typowej zresztą dla upadających ustrojów, komuniści - nawet tzw. liberałowie i reformatorzy nie widzieli potrzeby, aby z kimkolwiek dzielić się władzą. Siłą i manipulacją usiłowali przedłużyć swoje panowanie, idąc od klęski do klęski, ale nie uświadamiając sobie, że koniec jest już bliski. Zaślepieni w uporze, tracili okazję za okazją, aby się wywinąć z katastrofy. W czasach Gierka propozycje opozycyjnej lewicy traktowali jak krotoczwilę, w erze „Solidarności” - jako wybieg, w stanie wojennym - jako osłonę, po stanie wojennym - jako wyraz słabości. Trzeba przyznać, że konsekwencja z jaką lewica opozycyjna podtrzymywała swój program nawet wtedy, gdy wydawał się najmniej realny - dobrze świadczy o umiejętności jej przywódców rozpoznania drugiej strony. Rzeczywiście, nadszedł taki moment, gdy PZPR znalazła się w matni. Wiosną i latem 1988 r. przez Polskę zaczęła iść, w trzech nawrotach, potężniejsza fala strajków.



Już w pierwszym starciu siła okazała się nieskuteczna, manipulacja wyczerpała swe możliwości. W końcu sierpnia 1988 r. strajki mogły lada dzień objąć cały kraj, przekształcić się w olbrzymi wybuch społeczny, zdolny natychmiast zdmuchnąć komunistyczną władzę, rozbić struktury totalitarnego państwa, a jego szefów zamknąć w więzieniach. Chwila jeszcze - i w Polsce nastąpiłoby to, co rok później zdarzyło się w Czechosłowacji i NRD: całkowita i nagła katastrofa całego systemu.

Wtedy władze wyciągnęły rękę do zgody. A właściwie podjęły zgłaszane od lat propozycje. Zarysowała się ugoda. Trzeba było kilku miesięcy, aby przy okrągłym stole, i w wygodnych fotelach Magdaleny doszło do porozumienia, otwierającego czas dwuwładzy. Reformatorzy z PZPR oraz reformatorzy z „Solidarności” podali sobie dłonie.

Ugoda była prosta. Obie strony gwarantowały sobie nawzajem polityczne istnienie, a zarazem ograniczały krąg formalnej elity władzy do ugrupowań uczestniczących w okrągłym stole, a nawet węższej - obecnych w Magdalence. Formalnym tego wyrazem miał być nowy parlament, w którym miejsca podzielono prawie po równi, z niewielką przewagą strony ówczesznie rządzącej; w samym Sejmie jej przewaga wynosiła znacznie więcej, bo 65%. Ci, którzy w porozumieniu nie brali udziału, czy to ze strony PZPR, czy też opozycji, mieli znaleźć się poza obrębem właściwego życia politycznego. W ten sposób chciano odciąć oba skrzydła, zaś kontrakt objął wyłącznie zwolenników ugody. Podwójnej ugody, ponieważ dla jednych oznaczało to ugodę z reformatorską częścią opozycji, dla drugich ugodę z reformatorską częścią PZPR.

Pierwotny stosunek sił rychło uległ zmianie. Już podczas wyborów prezydenta okazało się, że przewaga jest po stronie OKP. Jesienią 1989 r. ster rządów przeszedł w ręce „Solidarności”, latem 1990 r. udział byłych PZPR-owskich ministrów znacznie zmalał; po części tylko zostało to zrekompensowane wzrostem aktywności i znaczenia niesolidarnościowych frakcji sejmowych. Wybory prezydenckie, a po nich parlamentarne mają zmienić proporcje kontraktu: już nie 65 do 35, ani nawet pół na pół, ale zgodnie z rzeczywistymi wpływami społecznymi poszczególnych ugrupowań reformatorskich. Bez zmiany ma pozostać sama zasada: monopol na udział w elicie władzy, dopuszczenie do istotnej roli w życiu politycznym kraju wyłącznie reformatorów, spychanie innych na margines.

Utrzymanie takiego stanu rzeczy wymaga ograniczenia wpływu społeczeństwa. To przesądziło o niechęci do przeprowadzenia wyborów powszechnych. Ponieważ nie można ich całkowicie uniknąć, zaczęła się wielka manipulacja terminami i kolejnością wyborów. Normalnym porządkiem rzeczy najpierw powinny odbyć się wybory parlamentarne, a następnie, już po uchwaleniu nowej konstytucji czy małej konstytucji - wybór prezydenta oraz wybory samorządowe. Zastosowano kolejność odwrotną. Zaczęto od wyborów samorządowych, najmniej ważnych, ale szybko skorygowanych ustawą kompetencyjną, ograniczającą kompetencje rad gminnych; faktycznie dotyka to zwłaszcza gminy wiejskie, gdzie zwyczajowo na ogół odnosili ludowcy, a nie Komitety Obywatelskie. W drugiej kolejności odbywają się wybory prezydenta; gdy już się odbędą, w zależności od tego, kto wygra, parlament będzie mógł określić prezydenckie kompetencje. Asekuracją jest przesunięcie wyborów parlamentarnych na ostatni termin. Pozwala to korygować ewentualne niepowodzenia w poprzednich wyborach na drodze ustawowej - i odkłada na tak późno, jak tylko można, wybór parlamentu - organu najważniejszego, bo stanowiącego prawa.



Manipulacja czasem pozwoliła wygrać mniej więcej półtora roku; wolne wybory parlamentarne mogły i powinny odbyć się już jesienią 1989 r., gdy „Solidarność” przejęła rządy; odbędą się zapewne dopiero wiosną 1991 r. Tak bardzo wydłużając czas, równocześnie maksymalnie skracano kampanię wyborczą. I w wyborach samorządowych, i w prezydenckich moment zamknięcia listy kandydatów od samego dnia wyborów dzieli ledwo miesiąc. Jest to czas niewystarczający na przeprowadzenie kampanii wyborczej. Zwróćmy uwagę, że w krajach, gdzie w wyborach powszechnych wybiera się prezydenta, kampania wyborcza, wraz z publiczną selekcją kandydatów na kandydata (prawybory) trwa około roku. Krótkość kampanii wyborczej nie pozwala wyborcom bliżej zapoznać się z kandydatami i ich programami; zamieszanie pogłębiają rządowe środki masowego przekazu, zwłaszcza telewizja, która wszelkimi metodami forsuje prorządowe listy. Dodajmy do tego wielkie nierówności materialne, zwłaszcza finansowe; aby je umocnić, ustawowo zabroniono partiom politycznym korzystać z pomocy ich sympatyków, Polaków przebywających za granicą; zakaz ten nie dotyczy Komitetów Obywatelskich czy związków zawodowych. W sumie mamy do czynienia z przekształceniem wyborów rzeczywistych w pozorowane. Ludzie, nie wiedząc między czym mają wybierać, pod zmasowanym naporem telewizyjnej propagandy po prostu wrzucają kartę do urny tak, jak im zasugerowała telewizja - albo pozostają w domu. Uzyskana w taki sposób aprobatą rządowych kandydatów i rządowego programu nie jest wyrazem świadomego wyboru obywateli, lecz wielkiej manipulacji.

Dochodzi do tego dążność rządzących, aby możliwie wiele rozstrzygnąć, nim decyzje zostaną oddane w ręce społeczeństwa. I rząd, i 35% Sejm rozwijają gorączkową działalność, aby jak najwięcej problemów rozstrzygnąć po swojemu i narzucić je Sejmowi pochodzącemu z wolnych wyborów. Model gospodarczy Polski, stosunki własnościowe, organizacja samorządów terytorialnych, struktury władzy, miejsce polityczne w Europie, Prezydent, być może konstytucja - wszystko to prawdziwy, reprezentujący społeczeństwo Sejm otrzyma w spadku po reformatorskiej dwuwładzy. W ten sposób rozwija się zakrojony na wielką skalę, a utrzymywany w tajemnicy przed społeczeństwem plan takiego zreformowania PRL, aby ci, którzy rządzą, rządzą nadal, a ci którzy są rządzani - zaakceptowali, że będą rządzani.

Nowym elementem w tej sytuacji jest podział w obozie okrągłostołowym. Nie prowadzi to do nowych jakości, ale ma duże znaczenie. Tzw. ugrupowania parlamentarne, czyli samozwańcza elita władzy od samego początku była bardzo niespójna. Obok podziałów politycznych szybko zaczął się formować podział na tych, którzy faktycznie sprawują władzę oraz na tych, którzy byli odsuwani od decyzji. Ugrupowaniem rządzącym jest bez wątpienia ROAD; odsuwanym od rządu Porozumienie Centrum. W stronę ROAD jakoś skłania się Socjaldemokracja RP, ale już nie Polska Unia Socjaldemokratyczna. W opozycji do rządu znalazł się PSL, w ślad za nim zmierza SD. W sumie prowadzi to do rozbicia rządzącej elity na parę części, ale najważniejszy podział jest między dwoma blokami: Mazowieckiego i Geremka z jednej strony, Lecha Wałęsy z drugiej.

Rozrywa to obóz okrągłostołowy, ale może przyczynić się do umocnienia jego pozycji w państwie. Stwarza bowiem fałszywe wrażenie, że całe życie polityczne Polski rozgrywa się jedynie w układach reformatorskich, ugodowych w stosunku do obecnej rzeczywistości, którą pragną poprawić, ale przede wszystkim zachować. Zarówno stabilizacja, jak przyspieszenie reform zamykają nas w tym samym kręgu.



Będzie źle tak długo, jak długo społeczeństwo pozwoli sobie wmawiać, że jest to cały obszar naszych możliwości. Przełom na lepsze nastąpi dopiero wówczas, gdy wystarczająca część społeczeństwa zrozumie, że alternatywa leży nie wewnątrz elitarnych układów okrągłostołowych, lecz między nimi a powszechną demokracją.

### 3. Odejść od lewicowych programów

Lewica nie jest zła przez to tylko, że jest lewicą. Lewica jest zła, gdy interes człowieka podporządkowuje wymyślonej ideologii. Ale lewicowe rozwiązania są nieraz koniecznością. Po dziesiątkach lat zatęchłego, prymitywnego konserwatyizmu prawicy, Polska odzyskując niepodległość w 1918 r. musiała pójść na lewo. Wyrównano niesprawiedliwości społeczne, wprowadzono ustawodawstwo robotnicze i ubezpieczenia społeczne, zapoczątkowano reformę rolną - przede wszystkim zrównano w faktycznych prawach wszystkich obywateli. Na tym fundamencie można było zbudować nowoczesne, obywatelskie państwo. Dzisiaj, po dziesiątkach lat archaicznego, ahumanitarnego socjalizmu lewicy - Polska musi odważnie zwrócić się na prawo.

Zastrzeżmy z miejsca: odważnie, lecz rozważnie. Trzeba odejść od lewicowych programów, ale nie wolno wpaść w zasadzkę prawicy - tej nadal zatęchłej, obskurantkiej, obsesyjnej, archaicznej polskiej prawicy. Iść na prawo - to nie znaczy zejść do Romana Dmowskiego. Iść na prawo - to nie znaczy ugrzęznąć w szowinizmie, nacjonalizmie, antysemityzmie, awersji do innych spowodowanej kompleksem niższości. Iść na prawo - to nie znaczy zrezygnować ze zdobyczy, które przyniósł nam rozwój cywilizacyjny i cofnąć się do XIX wiecznych krzywd społecznych. Iść na prawo - to nie znaczy zastąpić jedną doktrynę społeczno-gospodarczą inną doktryną, i nadal interpretować rzeczywistość przez zgodność z tym, co napisał Główny Ideolog. Musimy się bronić przed taką prawicą, która jest repliką lewicowego myślenia i która wszystko czerpie z lewicy, zmieniając tylko znak plus na minus lub odwrotnie.

Poza PPS, do lewicowych przekonań ze zrozumiałych względów niewielu się dzisiaj przyznaje. Musi to oczywiście czynić socjaldemokracja, ale określa się bardzo ostrożnie; z pewnym zdumieniem przeczytałem w jakimś lokalnym piśmie SdRP - chyba „Demokracie” z Lublina - że hołdują oni „postępowej ideologii Adama Michnika”. Ale poza Parlamentarnym Klubem Lewicy Demokratycznej i paroma kanapowymi ugrupowaniami partyjnych emerytów lewicowością nikt się nie afiszuje. Szkoda, bo Polsce potrzebna jest również lewica, byle z prawdziwego zdarzenia.

Prawicy nam za to nie brakuje. Podobnie jak prawicowych programów. Nic dziwnego, jeśli spojrzymy na rzecz porównawczo. Po prostu, w kontekście oficjalnie głoszonej przez dziesiątki lat ideologii komunistycznej, która określała siebie samą jako jedyną autentyczną lewicę - wszystko inne wydaje się prawicowe. Prawicowa więc jest linia rządu Tadeusza Mazowieckiego, skoro premier - w przeciwieństwie do swego poprzednika, Mieczysława Rakowskiego nie podkreśla, że jest lewicowcem. Prawicowy jest plan Balcerowicza - w porównaniu z Planem Sześcioletnim Hilarego Minca. Proprawicowa jest ROAD - skoro jej najbliższym sojusznikiem jest Forum Prawicy Demokratycznej.

Ale dość żartów. To prawda, że odeszliśmy od komunizmu, ale w Polsce nadal dominują programy lewicowe. Kamuflaż słowny niewiele tu zmienia. Jest to oczywiście inna lewica, niż znana nam komunistyczna. W zupełnie zachodnim stylu, trochę z brytyjskiej Labour Party, trochę ze szwedzkiej socjaldemokracji, trochę z



amerykańskich liberalów z partii demokratycznej - a bardzo dużo z zachodnich, lewicujących uniwersytetów. ROAD nie ogłosiła się partią lewicy, ale gdy jej przywódca Zbigniew Bujak odwiedził Szwecję, ku pewnej konsternacji miejscowych polonijnych słuchaczy obwieścił, że Polsce potrzebny jest właśnie szwedzki model socjaldemokratyczny.

Określmy podstawowe filary lewicowego myślenia.

Po pierwsze - jest ono doktrynalne. Tworzy pewną konstrukcję intelektualną, która zgodnie z logiką formalną i ustaleniami literatury przedmiotu, przyjmowanymi lub negowanymi, rozwiązuje postawione kwestie. Czynią tak twórcy i interpretatorzy doktryny; wszyscy pozostali przyjmują ją jako obowiązującą. Rzeczywistość zgodna z doktryną jest słuszna - i trzeba ją zachować. Rzeczywistość niezgodna z doktryną jest niesłuszna - i trzeba ją zmienić.

Po drugie - lewicowe myślenie jest nadrzędne. To znaczy swoje wnioski określa jako obowiązujące i jedynie słuszne, a jako takie - konieczne do zastosowania w praktyce.

Po trzecie - jest całościowe: ma ambicję rozstrzygnięcia o wszystkim tak, aby powstawał jeden zwarty logicznie system.

Po czwarte - odwołując się do potrzeb i opinii ludzi, zakłada, że nie są oni w stanie ani zrozumieć, ani rozstrzygnąć swoich głównych problemów, a więc trzeba za nich i dla nich znaleźć najlepsze wyjście.

Po piąte - uznając, że świat jest z natury rzeczy niesprawiedliwy, uważa, że trzeba wprowadzić korekturę, wyrównującą niesprawiedliwości; upośledzonym trzeba dołożyć kosztem tych, którzy mają więcej.

Po szóste - dążąc do powszechnej sprawiedliwości i szczęścia, wszystkie swoje działania rozpoczyna od budowy aparatu, wystarczająco wielkiego aby korygować wszelkie nierówności, zapewniać sprawiedliwość i szafować wszystkim, co zbliża nas do szczęścia.

Takie właśnie myślenie ciąży na dzisiejszej Polsce. Występuje ono nie tylko po stronie rzeczywistej lewicy; cztery jej pierwsze założenia obserwować można również na skrajnej, doktrynalnej prawicy. W jakimś sensie lewicowe myślenie obecnie ma większe szanse, niż w schyłkowym okresie komunizmu. Szefowie PZPR, zmuszeni do ciągłego rozwiązywania coraz to nowych i trudniejszych problemów, siłą rzeczy musieli być pragmatyczni; jeśli musieli - a musieli! - z czegoś zrezygnować, najchętniej zrezygnowali z ideologii, zaś bronili materialnych pozycji. Dzisiaj, gdy Polska stoi przed rzeczywistą potrzebą rozwiązania wszystkich podstawowych problemów, kusi lewicowa łatwość, aby posłużyć się doktryną: demokratyczno-socjalistyczną, narodowo-demokratyczną, liberalizmu gospodarczego. Wydaje się, że zawierają one gotowe rozwiązania. Tylko je wprowadzić w miarę konsekwentnie.

Jest to lewicowość naiwna. Obok niej występuje lewicowość spragmatyzowana. Jej punktem wyjścia jest uznanie oczywistego faktu, że życie publiczne, państwowe, gospodarcze, społeczne itd Polski zbudowane jest wedle lewicowego modelu. Nie trzeba go odrzucać, ale trzeba przekształcać, podtrzymywać, umacniać - bo inaczej wszystko się zawali. Jest to reformatorstwo wyrozumowane. Jest wreszcie lewicowość przekonana. Przyjmuje ona lewicowy system wartości - w niektórych odmianach o bardzo pięknej stylistyce - i szuka metod, aby wprowadzić go w życie; na ogół stara się zmienić co zewnętrzne, zachowując istotę. Jest to reformatorstwo motywowane.



Zobaczmy jak to działa w praktyce.

Od roku wprowadzany jest w życie plan Balcerowicza. Przebudowuje on liczne mechanizmy gospodarcze, zastępując stare wolnorynkowymi, powoli i umiarkowanie rozpoczyna prywatyzację, dokonuje przeobrażeń instytucjonalnych, zastępuje instrumenty administracyjne - ekonomicznymi. Równocześnie trwają wszystkie trzy filary gospodarki komunistycznej: (1) dominacja własności państwowej, tzw. uspołecznionej, (2) monopolistyczna organizacja gospodarki, oraz (3) zarządzanie gospodarką przez rząd. Oznacza to, że model lewicowy pozostał, nienaruszony w samej swojej istocie. Balcerowicz boi się go ruszyć, aby wszystko się nie zawaliło. Ale tym samym zamyka się w kręgu reformowania tego co jest - czyli niereformowalnego. Stąd niepowodzenie jego polityki. Ale przyczyną jest nie tylko strach przed radykalnymi krokami. Jeśli przyjrzeć się bliżej jego polityce, bez trudu można zauważyć, że oparta jest na takich samych założeniach, jak obecna czy była polityka socjaldemokratów w Szwecji, Wielkiej Brytanii, Niemczech lub Francji. Być może Balcerowicz chce przywrócić w Polsce kapitalizm. Jeśli tak, ma to być kapitalizm socjaldemokratyczny.

Ale gospodarka to tylko fragment. Zauważmy z jaką łatwością rząd Tadeusza Mazowieckiego przystosował się do struktur i mechanizmów dotychczasowego państwa. Co więcej, nawet przywraca niektóre jego elementy, z których już wcześniej zrezygnowano, starając się nieco odchudzić rozbuchaną ponad wszelkie potrzeby biurokratyczną machinę. Jeszcze w 1975 r. Gierek dokonał reformy administracyjnej, zwiększając wprawdzie znacznie ilość województw, ale za to likwidując powiaty. Dzisiaj rząd Mazowieckiego przywraca ten całkowicie zbędny drugi stopień państwowej administracji terenowej, tworząc rejony. Powód jest prosty. Samorządy gminne, których zakres kompetencji został i tak dość poważnie zmniejszony, mają być bardziej skrupulatnie nadzorowane, czy wręcz zastępowane przez administrację państwową; czynnik biurokratyczny zostanie umocniony.

Dotyczy to nie tylko terenu. Tworzą się nowe instytucje. Nawet prywatyzacja ma być administracyjnie kierowana przez urzędnika w randze ministra. Stara lewicowa zasada, tak chętnie stosowana wszędzie, gdzie ster przejęli socjaliści czy socjaldemokraci, aby rozbudować państwo urzędnicze i poprzez urzędy rozwiązywać problemy obywateli - cicho i dyskretnie święci triumfy w Polsce. Skarżą się ludzie, że znów daje o sobie znać arogancja władzy, pytają się, skąd się to bierze. Ano, właśnie z tego.

Wyżej przedstawiony polityczny system okrągłostołowy, z jego manipulacjami wyborczymi i propagandowymi również jest - wypisz, wymaluj - czysto lewicowy.

Nie dziwny się temu. Hybryda, która wyłoniła się z totalitarnego PRL, siłą rzeczy przejęła jego lewicowość. Tym samym zresztą znalazła się w całkowitej sprzeczności z odczuciami społecznymi, najwyraźniej przeciwlewicowymi. Konflikt się jeszcze nie ujawnił, bo przysłanianie panującej ciągle lewicowości pozorowaną prawicowością nie pozwala dostrzec całej prawdy.

Plagi, które nas dzisiaj trapią, są rezultatem utrzymywania socjalizmu, a nie wprowadzania kapitalizmu.

Gospodarka się rozsypuje, bo socjalizm wyeksploatował ją prawie do dna.

Produkcja spada, bo wzorem poprzednich ekip zastosowano socjalistyczną metodę ograniczania realnych zarobków, a więc kurczenia rynku i spadku siły nabywczej społeczeństwa.



Bezrobocie rośnie, bo utrzymuje się na siłę socjalistyczny model gospodarki, zamiast zastąpić go wolnorynkowym.

Lawinowo rozwija się korupcja, afery i rozgrabianie mienia państwowego, bo jest to schorzenie typowe dla odziedziczonej po dyktaturze biurokracji.

Spada stopa życiowa, bo obowiązuje socjalistyczna zasada, że człowiek musi ponosić wyrzeczenia w imię bliżej nie sprecyzowanej przyszłości.

Jeśli Polska nie zerwie z rozwiązaniami lewicowymi, jeśli nie dokona rzeczywistego, nie pozorowanego, zwrotu na prawo, ugrzęźniemy w permanentnym kryzysie.

#### **4. Na prawo - w gospodarce**

To nie gospodarka jest najważniejsza, ale - oczywiście - polityka. Nie można rozwiązać naszych problemów gospodarczych inaczej, niż w następstwie decyzji politycznych. One określają warunki gospodarowania, kierunek przeobrażeń ekonomicznych, charakter zmian. Równocześnie jednym z najbardziej podstawowych zadań naszej polityki jest stworzenie nowoczesnej gospodarki narodowej. Musimy w pierwszej kolejności zbudować materialną podstawę bytowania państwa i społeczeństwa.

Odejście od lewicowego modelu gospodarki i budowa gospodarki normalnej, efektywnej i zaspokajającej potrzeby społeczne, wymaga zmian strukturalnych oraz zmiany polityki gospodarczej.

Zacznijmy od tego ostatniego. Polityka gospodarcza Balcerowicza jest prosta. Potrzebuje on środków na potrzeby państwa, w tym na obsługę długu zagranicznego, oraz na koszty przeprowadzenia reformy gospodarczej. Zgodnie z podstawową zasadą lewicowego państwa, środki te powinny w całości znaleźć się w dyspozycji rządu, bowiem ten najlepiej wie, co z nimi uczynić, tj. jak planowo wydać je wedle ustalonych przez siebie priorytetów.

Potrzebne środki uzyskuje się w prosty sposób: państwowe przedsiębiorstwa, obłożone dodatkowo wysokim podatkiem obrotowym na rzecz państwa, podnoszą ceny znacznie szybciej, niż następuje wzrost zarobków. Powoduje to spadek realnych płac - w ostatnim okresie mniej więcej o połowę. Zaoszczędzone w ten sposób środki zasilają kasę państwa, które otrzymuje pieniądze na wykonywanie swoich programów.

Jest to proste, ale zastanówmy się, do jakich prowadzi skutków.

Spadek realnych zarobków powoduje zmniejszenie siły nabywczej społeczeństwa. Ludzie kupują mniej towarów. Spadek sprzedaży, wzrost zapasów towarowych wymusza zmniejszenie produkcji; trudno produkować, jeśli nie można sprzedać. Ograniczenie produkcji prowadzi do zmniejszania zapotrzebowania na pracę; zarobki są ograniczane, zaczyna się bezrobocie. Powoduje to dalszy spadek siły nabywczej społeczeństwa. Efektem jest dalsze zmniejszenie sprzedaży, a za nim dalsze ograniczanie produkcji, dalszy spadek zapotrzebowania na pracę itd. Jest to klasyczna spirala lewoskrętna kryzysu gospodarczego.

Balcerowicz świadomie wybrał taką politykę, bowiem otrzymywał w ten sposób pieniądze na potrzeby państwa i dusił inflację. Popierający go Międzynarodowy Fundusz Walutowy miał ponadto nadzieję, że ograniczenie konsumpcji społecznej w Polsce pozwoli znaczną część produkcji skierować na eksport, aby pokryć zobowiązania zagraniczne. Na przełomie 1989-90 zakładano, że spadek produkcji nie będzie głębszy niż 20%, a bezrobocie nie przekroczy 200 tys.



osób; przypuszczano, że do czerwca sytuacja się ustabilizuje, a nawet nastąpi pewna poprawa.

Poprawa nie nastąpiła, trudno mówić też o stabilizacji. Produkcja spadła o co najmniej jedną trzecią, a więc katastrofalnie. Bezrobocie szybko zbliża się do miliona; gdyby przyjąć, że spadkowi produkcji powinien towarzyszyć proporcjonalny spadek zatrudnienia, potencjalne bezrobocie przekracza dwa miliony. Nadzieje, że ograniczenie konsumpcji doprowadzi do znacznego zwiększenia eksportu, okazały się płonne; stan techniczny naszych mocy produkcyjnych nie pozwala na wysoką jakość, a towary, które możemy produkować, nie są konkurencyjne na rynkach światowych.

Przewidywania Balcerowicza nie sprawdziły się, bowiem wprowadził on na spiralę recesyjną gospodarkę, która w minionym półwieczu wojny i komunistycznej eksploatacji została wyczerpana prawie do dna. Poddanie jej tak ostremu zabiegowi spowodowało, że wszystko pękło. Gdyby przedsiębiorstwa posiadały rezerwy finansowe, mogłyby jakoś wegetować, podtrzymując produkcję. Nie ma jednak rezerw, zakłady są w poważnej mierze zdekapitalizowane, a straszliwe podatki utrzymują nawet najlepsze z nich na krawędzi opłacalności. Surowe warunki wprowadzają oszczędne gospodarowanie i działają pozytywnie na wzrost efektywności, ale jest to korzyść uboczna w procesie, prowadzącym przedsiębiorstwa produkcyjne do ruiny.

Pierwsze pękają najsłabsze ogniwa. Takimi w gospodarce socjalistycznej są przedsiębiorstwa prywatne. Spadek siły nabywczej społeczeństwa katastrofalnie odbił się na produkcji prywatnych zakładów. Około stu tysięcy musiało zawiesić działalność, albo wręcz splajtowało. Pewną szansę mają przedsiębiorstwa handlowe, szybko obracające kapitałem, ale warunki sprzyjają głównie przedsiębiorstwom pasożytniczym, wciskającym się jako pośrednicy między firmy państwowe.

Najmocniej jednak plan Balcerowicza uderzył w wieś. Jest ona drenowana podwójnie: materiały do produkcji rolnej sprzedawane są przez państwo po horendalnie wysokich cenach, gdy za płody rolne tzw. uspołeczniony skup płaci nisko, by po dodaniu wielkich marż, sprzedawać je drogo ludziom w mieście. W tych warunkach spadek realnych zarobków, wymuszając zmniejszenie zakupów żywności (spożycie pieczywa spadło o 30%, mleka o około połowę) stworzył wrażenie nadprodukcji rolnej i hodowlanej. Spadek sprzedaży w kraju oraz nieumiejętność czy niemożność zorganizowania szerszego eksportu wymuszają poważne zmniejszenie produkcji rolniczej. Wieś staje w obliczu bankructwa. Stan rynku pracy w mieście zaostrza jeszcze bardziej sytuację, bo chłoporobotnicy zwalniani są w pierwszej kolejności.

Lewicowa polityka gospodarcza, starym wzorem przerzucająca wszystkie koszty na społeczeństwo i ograniczająca rynek wewnętrzny, uruchomiła bezlitosną spiralę recesji. Wyrwanie Polski z tego wiru w dół bez całkowitej zmiany polityki gospodarczej jest niemożliwe.

Potrzebujemy polityki gospodarczej dokładnie odwrotnej. Trzeba uruchomić prawoskrętną spiralę w górę, spiralę nakręcania koniunktury. Najważniejsze jest poszerzenie rynku wewnętrznego, to znaczy zwiększenie siły nabywczej społeczeństwa. W warunkach, obecnie panujących w Polsce, można to osiągnąć tylko jedną metodą, a mianowicie radykalnym wzrostem zarobków pracowników gospodarki uspołecznionej. Spowodowany tym wzrost zakupów doprowadzi do szybkiego wzrostu produkcji przemysłowej, ale także poprawi znacznie zbyt i opłacalność płodów



rolnych. Powiększanie produkcji zwiększy zapotrzebowanie na pracę, co z kolei podniesie globalne zarobki i zwiększając siłę nabywczą społeczeństwa, stymulować będzie dalszy wzrost produkcji. Gospodarka zacznie piąć się po spirali w górę.

Jest to znany mechanizm. Poszerzając rynek wewnętrzny, w latach osiemdziesiątych zarówno pani Thatcher, jak Ronald Reagan wyrwali swoje kraje z recesji. Tego rodzaju prawicowa polityka gospodarcza wprawdzie krytykowana jest zawsze przez lewicowych intelektualistów, ale fakty nie im przyznają rację.

Skoro wyjście jest tak proste, dlaczego zdecydować się na nie jest tak trudno? Czemu Balcerowicz nie sięgnął po taki plan?

To zupełnie jasne. Prawicowa polityka gospodarcza nakręcenia koniunktury, na samym wstępie potrzebuje pieniędzy. Trzeba je skądś wziąć, aby móc wywołać początkowy efekt poszerzania rynku. Otóż jest tylko jedno źródło: ograniczanie wydatków państwowych.

Dla lewicowego myślenia gospodarczego to prawdziwa herezja. Cały sens gospodarowania upatruje ono w tym, aby zwiększać systematycznie środki kierowane do dyspozycji państwa. Nikt lepiej niż rząd nie potrafi ich wydać.

Stąd ogień zaporowy, stosowany od dawna. Wszystko co można zaoszczędzić, zaoszczędziliśmy już dawno - mówią obrońcy państwowego wydawania. - Nie można więcej ograniczyć wydatków, bo nie starczy na ochronę zdrowia, pomoc społeczną, oświatę i reformę gospodarczą, nie mówiąc już o obronie narodowej.

Pomyślmy spokojnie. Jeśli nie uratujemy gospodarki, na wydatki państwowe też nie starczy pieniędzy. Przeprowadzając drastyczne cięcia, stwarzamy warunki do przyszłego wzrostu wpływów. Wreszcie, czy nie mamy na czym zaoszczędzić?

Mamy, i to jak bardzo. Ciągle jeszcze żyjemy w monstrualnie rozbudowanym państwie. Wyżej pisałem o strukturach państwa totalitarnego. Te olbrzymie struktury, w poważnym stopniu na nic nie potrzebne, a bardzo często szkodliwe, blokujące jakiegokolwiek zmiany na lepsze, trzeba i tak okroić, czy wręcz zlikwidować. Bronią się przed tym, to zrozumiałe; broni się obsadzająca je nomenklatura. Jeśli zabraknie na ich utrzymanie pieniędzy, przestaną istnieć - ze społecznym pożytkiem. Chodzi nie tylko o zbędne ogniwa administracyjne, lecz również o wszystkie wielkie i małe czapki, usytuowane nad gospodarką w centrali i terenie, o urzędnicze aparaty handlu czy rolnictwa, o instytucje, które dawno zapomniały, po co je powołano. Względy ogólne wymagają, aby przykroić aparat państwowy - w najszerszym znaczeniu tego słowa - do rzeczywistych potrzeb; oszczędności w ten sposób uzyskane pomogą gospodarce.

Oczywiście, to nie jedyne możliwe oszczędności. Trzeba skończyć z subwencjonowaniem, jawnym czy ukrytym, nierentownych państwowych przedsiębiorstw. Trzeba przestać dopłacać do eksportu. Trzeba zmniejszyć wydatki zagraniczne, wydatki na obronę, utrzymywanie obcych wojsk, darmowy tranzyt i tysiąc innych rzeczy. Trzeba także ograniczyć środki kierowane na różne przedsięwzięcia, skądinąd pożyteczne, ale na które nas dzisiaj nie stać. Trzeba zmniejszyć wydatki na wszystko - z trzema wyjątkami: (1) opieka lekarska i społeczna; (2) ochrona środowiska; (3) oświata.

Mówiąc o zmniejszeniu wydatków państwowych pamiętajmy, że wzrost płac realnych automatycznie zwiększy wpłaty na ZUS, a także odbije się na wroście rent i emerytur; podkreślam to, bo demagogicznie twierdzi się nieraz, że polityka wzrostu zarobków musi odbić się na raptownym spadku świadczeń socjalnych. Otóż nie jest to prawdą.



Na potrzeby szeroko pojętego państwa przeznaczają się w Polsce około połowy dochodu narodowego. W Stanach Zjednoczonych potrzeby te pochłaniają około 15% dochodu narodowego. Horrendalne wydatki państwowe, w poważnej mierze kierowane na cele nieproduktywne, są jednym z najważniejszych powodów wyniszczenia gospodarki. PRL wydawał i zużywał więcej, niż wytwarzał - i ten kumulujący się deficyt, maskowany arbitralnym kształtowaniem cen przez państwo, doprowadził ostatecznie do obecnej katastrofy. Wydatki państwowe są też głównym źródłem inflacji.

Drastyczne ograniczenie wydatków państwowych jest tylko jednym źródłem, dostarczającym środków na politykę poszerzania rynku. Drugim źródłem jest prywatyzacja: sprzedaż majątku tzw. uspołecznionego do rąk prywatnych. Do zagadnienia tego wracam niżej, tu pragnę tylko podkreślić, że wbrew zaporowym sugestiom przeciwników szerszej prywatyzacji, przynieść może ona szybko poważne środki.

Aby namacalnie unaocznili bezpośredni związek między ograniczeniem wydatków państwowych a wzrostem zarobków - posłużę się przykładem. Jakkolwiek zaczerpnięty on jest z konkretnego przedsiębiorstwa (zachęcam Czytelnika, aby podobne wyliczenie zrobił we własnym przedsiębiorstwie), chcę go potraktować laboratoryjnie, a więc nie jako receptę, lecz ukazanie zależności.

W przedsiębiorstwie „U” na przeciętny koszt wyrobu finalnego, równy 100%, składają się między innymi pozycje: „wynagrodzenia (łącznie ze składką ZUS)” - równe 5%, oraz „podatek obrotowy” - równy 35%. Gdybyśmy wynagrodzenia powiększyli dwukrotnie, a procent podatku obrotowy obniżyli o jedną siódma, pierwsza pozycja wzrosłaby do 10%, druga obniżyła się do 30%, zaś koszt wyrobu finalnego pozostałby taki sam. Gdyby jednak podatek obrotowy obniżyć blisko o połowę do 20%, wynagrodzenia zwiększyć dwukrotnie - do 10%, a ponadto wprowadzić nową pozycję „modernizacja techniczna” i przeznaczyć na nią 5% - koszt ogólny wyrobu zmniejszyłby się ze 100% do 95%. Komentarz chyba zbyteczny.

Jeszcze jedna kwestia wymaga wyjaśnienia. Ludzie boją się wzrostu zarobków, bo pociąga to za sobą ogołocenie rynku z towarów, wzrost cen - i ostatecznie jest jeszcze gorzej niż było, Rzeczywiście coś takiego zdarzało się w PRL wielokrotnie. Ale towary znikają z rynku nie dlatego, że wzrastają zarobki. Rząd, podnosząc lewą ręką wynagrodzenia, równocześnie prawą ręką blokował produkcję tzw. artykułów rynkowych na istniejącym poziomie, a nawet ją zmniejszał. Większa ilość pieniędzy spotykała się z taką samą jak wcześniej, albo nawet mniejszą ilością towarów. Rząd czynił to, bo po prostu zarabiał na spadku wartości pieniądza, zyskiwał wolne moce produkcyjne, które mógł przeznaczyć na tzw. produkcję pozarynkową, wreszcie uczył ludzi, że domaganie się podwyżek nic nie daje.

Powodzenie całej operacji nakręcania koniunktury zależy od tego, czy nagłe zwiększenie siły nabywczej społeczeństwa wywoła odpowiednio szybki wzrost produkcji. Paradoksalne, ale ostatecznie załamanie się produkcji, które najostrzej wystąpiło w przedsiębiorstwach wytwarzających wyroby konsumpcyjne, daje nam dodatkową szansę. Fabryka mebli czy pończoch, która poważnie zmniejszyła produkcję wskutek spadku sprzedaży, bardzo szybko może ją podnieść do poprzedniego poziomu.

Najważniejsze jest jednak, aby usunąć wszystkie istniejące dzisiaj przeszkody i ograniczenia produkcji. Zachować można jedynie ograniczenia wynikające z



przepisów BHP, ochrony środowiska naturalnego oraz ochrony praw autorskich i patentowych. Wszystkie inne przeszkody muszą być zniesione. Trzeba stworzyć nowy system proprodukcyjny, spełniający wszystkie warunki do swobodnego rozwoju uczciwej przedsiębiorczości.

W tym miejscu przechodzimy od polityki gospodarczej do koniecznych przeobrażeń modelowych. Sprowadzić je można do całkowitej likwidacji tzw. gospodarki socjalistycznej, a przede wszystkim likwidacji trzech jej głównych filarów, wskazanych wyżej. Osiągnąć to można jedynie na drodze szybkiej prywatyzacji.

Oczywiście, chodzi o oddanie przedsiębiorstw przede wszystkim w ręce Polaków. Obcy kapitał w prywatyzacji powinien brać udział, lecz w ograniczonym rozmiarze i pod pewnymi warunkami, zapewniającymi nam bezpieczeństwo gospodarcze i polityczne. Sama prywatyzacja powinna obejmować najprzeróżniejsze formy; wykup przedsiębiorstw lub ich udziałów w drodze przetargów lub na giełdzie, wykup placówek gospodarczych przez pracowników na warunkach ratałnych, akcjonariat pracowniczy, akcjonariat obywatelski.

Dwie masowe i przymusowe operacje powinny być przeprowadzone natychmiast. Pierwszą z nich jest sprzedaż w ręce prywatne całego tzw. uspołecznionego handlu, usług, oraz drobnych przedsiębiorstw produkcyjnych, zatrudniających do 50 pracowników na jedną zmianę. Jeśli w pewnym terminie, np. 5 miesięcznym, jakaś placówka nie zostanie sprzedana, trzeba ją zlikwidować, bo jest niepotrzebna. Po tym terminie gospodarka tzw. uspołeczniona nie może posiadać niczego w tej dziedzinie. Sklepy, zakłady, przedsiębiorstwa trzeba sprzedawać w drodze przetargu; kupować mogą osoby prywatne indywidualnie, lub połączone w spółki czy spółdzielnie; jeśli daną jednostkę kupią pracownicy, należność powinna być rozłożona na raty.

Zwłaszcza prywatyzacja handlu ma olbrzymie znaczenie. Likwidujemy w ten sposób olbrzymie monopolistyczne organizacje uspołecznione, zastępując je dziesiątkami tysięcy placówek - niezależnych i konkurujących z sobą. Ta całkowita zmiana charakteru handlu narzuci zupełnie inne reguły gry całej gospodarce. Wyrwie ją spod monopolistycznego dyktatu. Najszybciej i najsilniej odczuje to rolnictwo.

Drugą przymusową operacją powinno być przekształcenie prawie wszystkich przedsiębiorstw państwowych w jednoosobowe spółki Skarbu Państwa. Uzyskają one w ten sposób samodzielność taką samą, jak przedsiębiorstwa prywatne. Wszystkie czy prawie wszystkie spółki tego rodzaju, powinny natychmiast wystawić odpowiednią część swych udziałów (akcji) na sprzedaż. Uruchomi to ciągły proces prywatyzacji, który doprowadzi po pewnym czasie do takich zmian własnościowych, które całkowicie usuną obecną dominację przedsiębiorstw tzw. uspołecznionych. Nie należy jednak dążyć za wszelką cenę do sprywatyzowania wszystkich przedsiębiorstw. Ograniczona do rozsądnych rozmiarów własność państwowa ma też swoje zalety. Zwłaszcza w przemysłach potrzebnych z racji państwowych, a mało atrakcyjnych dla gospodarki prywatnej.

Rzecz jasna, wszystkie przekształcenia własnościowe muszą odbywać się jawnie, pod społecznym nadzorem, a wszelkie nadużycia muszą być natychmiast karane z całą surowością prawa.

Prywatyzacji przedsiębiorstw musi towarzyszyć prywatyzacja całej gospodarki. Aby ją maksymalnie przyspieszyć, należy stworzyć wyraźnie lepsze warunki dla przedsiębiorstw prywatnych. Inaczej mogą okazać się zbyt słabe i faktycznie



upośledzone w porównaniu z wielkimi kolosami państwowymi. Firmy prywatne powinny korzystać z obniżonych, a w okresie rozruchu całkowicie zniesionych podatków, mieć ulgi celne, łatwy dostęp do tanich kredytów, łatwość w korzystaniu z leasingu.

Wielki przemysł państwowy, także prywatyzowany, powinien zostać rozkooperowany. Obecnie zakłady połączone są ścisłymi więzami kooperacyjnymi, ustanowionymi biurokratycznymi decyzjami, narzucającymi poszczególnym przedsiębiorstwom, gdzie mają kupować potrzebne podzespoły i detale; ten sztywny układ, źle pracujący, podnoszący koszty, musi być zlikwidowany. Kooperacja powinna być organizowana na normalnych warunkach rynku i wolnej konkurencji. Otworzy to olbrzymie pole działania dla drobnych firm prywatnych i przyczyni się do wielkiego wzrostu efektywności całej gospodarki.

W krajach opóźnionych gospodarczo i wychodzących z kryzysu, najważniejsze znaczenie mają drobne przedsiębiorstwa, na świecie znane pod angielskim terminem *small bussines*. Nie potrzebują one większych kapitałów dla uruchomienia, są elastyczne i bardzo ruchliwe, dopasowują się natychmiast do potrzeb rynku. Również u nas powinny one stać się kołem napędowym gospodarki. Co nie znaczy, że muszą pozostawać drobnymi. Przeciwnie, z małych powinny tworzyć się przedsiębiorstwa średnie, ze średnich - większe. Jeśli uda się nam rozwinąć ten proces dynamicznie, z zacofanej gospodarki socjalistycznej do nowoczesnej gospodarki rynkowej przejdziemy szybko, sprawnie i bezboleśnie.

W prywatyzacji całej gospodarki olbrzymią rolę odgrywa rolnictwo. Odrzucając utopijne rojenia o przekształceniu naszej wsi w wielkie, ponad 50 hektarowe gospodarstwa farmerskie, trzeba postawić zdecydowanie na gospodarstwa rodzinne i otoczyć je troskliwą opieką. Rolnictwo polskie musi korzystać z ochrony celnej, zrzucić z siebie ciężar podatków, mieć pierwszeństwo w otrzymywaniu taniego kredytu, pomoc w eksporcie i nawiązywaniu kooperacji z zagranicą.

## 5. Konieczność przełomu

Wyżej zarysowałem jedno tylko zagadnienie: gospodarkę. Pokazałem, że zwrot na prawo mocen jest dokonać przełomu. Taki przełom powinien zostać dokonany w każdej dziedzinie życia polskiego. Potrzebna jest nam rekonstrukcja państwa i wprowadzenie demokracji, ale niezbędna jest nam sanacja moralna, przywracająca rządy prawa i sprawiedliwości. Chodzi zarówno o rozliczenie winnych, którzy gnębili Polskę i Polaków, mordowali, więzili, kradli, doprowadzili kraj nasz do obecnego stanu; ale chodzi również o tych, którzy dzisiaj szerzą korupcję, montują afery, rozdrapują majątek narodowy. Potrzebna jest nam odbudowa gospodarki, tak, aby jak najszybciej zaczęła rosnąć stopa życiowa, ale potrzebna jest nam skuteczna obrona wsi i rolnictwa, gdyż inaczej nie uchronimy się od katastrofy. Czas najwyższy podjąć radykalne środki w obronie środowiska naturalnego i powstrzymaniu zagłady biologicznej narodu. Musimy wreszcie przeorientować naszą politykę zagraniczną.

Są to główne kwestie, w których musi nastąpić przełom. Jeśli przestaniemy marnować szanse, które w tym czasie tak obficie ofiarowuje nam historia, jeśli wyrwiemy się z kręgu lewicowego myślenia i PRLowskiej spuścizny, przełom będzie mógł nastąpić.

Potrzebna jest jeszcze siła, która tego przełomu dokona. Otóż jest tylko jedna taka siła społeczna. To młodzież.



Młodzi ludzie są silni biologicznie, energiczni, wolni od obciążeń przeszłości. Przed każdym z nich stoi zadanie zbudowania swego losu. Realizując własne aspiracje, dążenia i nadzieje - tworzą lepszą Polskę, Polskę jutra. Jeśli jednak mają zbudować przyszłość na skalę swych pragnień i potrzeb - muszą już dziś zacząć współdecydować o wszystkim. I to oddanie steru w ręce młodych, niezbędne dla dokonania przełomu, dokończenia polskiej rewolucji bez rewolucji - samo przez się będzie może największym i najbardziej potrzebnym przełomem.

Wkraczamy w okres, w którym konieczność przełomu stanie się oczywista. Reformistyczna polityka rządu Mazowieckiego osiadła na mieliźnie; równocześnie, pozostając w ramach generalnej koncepcji reformowania tego co jest, nie ma dla niej alternatywy. Sytuacja polityczna systematycznie się zaognia; niesnaski w obozie rządzącym przeradzają się w otwartą wojnę, a rozbici w 1989 r. wczorajsi - obrońcy starego systemu ochłonęli, okrzepli i zaczynają pokazywać zęby. Sytuacja gospodarcza gwałtownie pogarsza się; błyskawicznie rosną napięcia społeczne, wzbiera fala protestów. Niespełnione, czy wręcz zawiedzione nadzieje przeradzają się we frustracje, nawet bunt. Polska coraz szybciej dojrzewa do nowej Wielkiej Zmiany.

Pod tym ciśnieniem rządzące elity muszą szukać rozwiązań politycznych. Dość krótkowzrocznie i zapewne dla siebie nieszczęśliwie szukają ich w nowych rozstrzygnięciach wyborczych. Tuż po sobie mają odbyć się podwójne wybory: najpierw prezydenckie, następnie parlamentarne. Cel takiego pociągnięcia jest raczej jasny. Odwołanie się do społeczeństwa ma rozładować napięcie, pobudzić nowe nadzieje oraz wygrać czas, który może przyniesie jakieś nowe rozwiązania. Ponadto, przedstawionymi wyżej zabiegami manipulacyjnymi można uzyskać pozorowane poparcie polityczne i pozorowaną aprobatę społeczeństwa dla przyjętych rozwiązań.

Jest to polityka niebezpieczna. Jeśli się powiedzie, da tylko wygraną na czasie, bo zamiast rozwiązać, odsunie w przyszłość główne polskie problemy. Lecz zwlekać z nimi nie wolno, bo kraj pogrąży się w chaosie, a społeczeństwo może nie wytrzymać. Na horyzoncie politycznym na nowo zarysowało się to polskie rozwiązanie, które przesądzało o wszystkich zmianach podczas poprzednich dziesięcioleci: wybuch społeczny. A raczej, mówiąc bardziej wyraźnie, rewolucja.

Jakie są możliwości polityczne rządzącej obecnie elity, aby wyjść obronną ręką z zaogniającego się przesilenia? Raczej niewielkie. Już nadchodzące wybory prezydenckie, w których zwycięży zapewne jeden z dwu kandydatów obozu reformatorskiego, mogą przyczynić się do zaciemnienia, zamiast rozjaśnienia sytuacji. Jeśli wygra Tadeusz Mazowiecki, przez to zwycięstwo będzie tym bardziej niezdolny do zmiany swojej obecnej polityki, która już poniosła porażkę. Jeśli wygra Lech Wałęsa, możliwych rozwiązań będzie więcej. Albo będzie rządził w oparciu o swoich dotychczasowych doradców, bardzo zróżnicowanych w opiniach i przekonaniach, co da w efekcie politykę niekonsekwentną, lecz reformatorską. Albo porozumie się z drugim odłamek reformatorów, co przyniesie mu politykę niewiele tylko różną od przegranej linii Mazowieckiego. W jednym i drugim przypadku rozstrzygnięcie wyborcze nie doprowadzi do niezbędnego przełomu politycznego. Będzie nas jeszcze czekała druga próba: wybory parlamentarne. Jeśli one również zapewnią zwycięstwo reformatorów z obu grup, przełom polityczny zostanie znów odsunięty w czasie.

Będzie to igranie z ogniem. Wprawdzie wybory, jedne po drugich, skierują w inną stronę wyzwalającą się aktywność społeczeństwa i wywołają stan nadziei i oczekiwania na upragnione polepszenie się istniejącej rzeczywistości - lecz będzie to



trwało względnie krótko. Nie należy zresztą przesadzać z uspokajającą funkcją wyborów. Równocześnie bowiem ostra rywalizacja kandydatów pobudza emocje społeczne i może nawet doprowadzić do tak znacznego zaognienia sytuacji, że eksplozja będzie przyspieszona, a nie opóźniona. Silna reakcja na porażkę wyborczą danego kandydata może doprowadzić do gwałtownych wydarzeń. Niezależnie od tego, w jakim stopniu wybory przyczynią się - lub nie - do czasowej stabilizacji politycznej, nierozstrzygnięte problemy pozostaną. Próba uznania, że wybory dały reformatorom paroletni mandat na kontynuowanie ich linii politycznej spowoduje, że jedynym rozwiązaniem, przed którym stanie Polska - będzie rewolucja.

W takich warunkach nurt niepodległościowy, którego głównym ośrodkiem jest KPN, musi być przygotowany do dwu wariantów rozwoju sytuacji: ewolucyjnego i rewolucyjnego. Wybór, wedle którego wariantu potoczą się wydarzenia, nie zależy od nas, ani od jakiegokolwiek innego ugrupowania politycznego; możemy na ten wybór wpłynąć w bardzo ograniczonym stopniu, bo zadecydują procesy żywiołowe.

Wariant ewolucyjny wymaga naszego udziału w jednych i drugich wyborach. Nie jest dla nas rzeczą najważniejszą, jak się będzie nazywał przyszły prezydent. lecz to, jaki będzie realizował program. Albo, ściślej mówiąc, w jakim stopniu będzie chciał czy musiał działać zgodnie z programem niepodległościowym - a więc naszym programem. Jeśli wygra nasz kandydat, mamy stuprocentową pewność, że nasz program zostanie wprowadzony w życie. Jeśli przegra - to im więcej głosów uzyska, w tym większym stopniu nasz program będzie musiał realizować nie nasz prezydent. Zwłaszcza, gdyby okazało się w drugiej turze wyborów, że od tego, na kogo przetrzucimy głosy, uzyskane przez nas w pierwszej turze, zależy, kto zostanie prezydentem. Wówczas będziemy mogli stawiać warunki i domagać się wystarczających gwarancji.

Podobnie w wyborach parlamentarnych całe zagadnienie polega na tym, aby nurt niepodległościowy uzyskał wystarczającą reprezentację. Jeśli te wybory wygramy, sprawa jest jasna. Minimum, jakie jest nam niezbędne, to wprowadzenie wystarczającej ilości posłów i senatorów, aby przed Izbami cały czas stała podstawowa alternatywa: reformizm i elitaryzm czy niepodległość i demokracja. Istnienie takiej realnej alternatywy parlamentarnej, uzależnionej od wystarczająco silnej naszej reprezentacji, sprowadza konieczność rozstrzygnięcia - prędzej czy później - do decyzji sejmowej. Może ona nastąpić pod nasilającym się parciem społecznym, ale w sejmie, nie na ulicy. Jeśli jednak nie uda się nam wprowadzić do parlamentu wystarczająco silnej reprezentacji, wariant ewolucyjny zostanie dla nas zamknięty i zostaniemy skazani na rewolucyjny.

Tu pojawia się pytanie: skoro świadomi jesteśmy dziejącej się manipulacji, która bardzo poważnie ogranicza rzeczywiste dokonywanie wyboru przez społeczeństwo, a tym samym zmniejsza nasze szanse wyborcze - to dlaczego w tym uczestniczymy? Czy nie słuszniej - i godziwiej - byłoby odciąć się od tych wszystkich machinacji i ograniczyć do głośnego potępienia?

Takie rozwiązanie trzeba odrzucić. A to z kilku powodów.

Przede wszystkim z powodów moralnych.

Potępienie i nieuczestnictwo jest zwykłym moralizatorstwem, a więc próbą ucieczki od wykonania obowiązku. Podjęliśmy się tego obowiązku dobrowolnie. Pragnąc wyzwolić ojczyznę, usunąć to zło, w którym przez dziesięciolecia żyliśmy, zwrócić wolność i godziwą egzystencję Polakom, a cześć i godność Rzeczypospolitej -



podjęliśmy i podejmujemy działania polityczne. Czynimy tak ze względów moralnych. Zaprzestanie naszych działań, ograniczenie się do samego potępiania bez podjęcia akcji zmierzającej do usunięcia zła - byłoby sprzeniewierzeniem się celom, do których dążymy, niewykonaniem obowiązku - także obowiązku moralnego. Zawiera on w sobie kategoryczny imperatyw czynu, bez względu na występujące ryzyko.

Uczestniczyć w tym co się dzieje musimy także, ponieważ konieczna jest nasza obecność. Wstrzymując się od działań, schodzimy ze sceny politycznej, a więc oddajemy punkty walkowerem. To prawda, że warunki ustalone są nie przez nas, i że są one często niegodziwe. Znajdujemy się jednak w sytuacji boksera, który przed wejściem na ring wie, że przeciwnik walczy nieczysto, a sędzia jest stronniczy. Nie ma jednak wyboru. Jeśli nie wejdzie na ring, eliminuje się z rozgrywek. Musi wejść, mimo, że zdaje sobie sprawę, że będzie pokonany; pozostaje jednak uczestnikiem rozgrywek i zachowuje szansę na ostateczny sukces.

Wreszcie, cały czas mamy szansę do wykorzystania. Skierowane przeciwko nam działania manipulacyjne lub dyskryminacyjne nie przekreślają tej szansy, powodują tylko, że działamy w trudniejszych warunkach. Możemy jednak uzyskać sukces; nawet niewielki, zwiększy on nasze możliwości na przyszłość. Możemy przekonać, lub skłonić innych do przyjęcia naszego punktu widzenia, a więc do działania zgodnie z naszym programem. Im jesteśmy aktywniejsi, tym bardziej jest to możliwe.

Dochodzimy tutaj do kwestii zasadniczej. Politykę należy rozpatrywać w dwu kategoriach: polityka jako gra i polityka jako misja.

Polityka, traktowana jako gra, jest zajęciem pragmatycznym. Chodzi o to, aby potrafić sobie wyobrazić, co w danej sytuacji jest możliwe, a później mieć dość woli, siły, umiejętności i zręczności, aby wykorzystać istniejące szanse w jak najpełniejszym stopniu. Ponieważ w dążeniu do naszych celów spotykamy się, czy zderzamy z innymi ugrupowaniami politycznymi, wespół z nimi uczestniczymy w pewnej grze. Wymaga to wysokich umiejętności; stanowczości w działaniach bezpośrednich, elastyczności w całej gamie działań pośrednich - które w sposób niewidoczny, czy mało widoczny dla przeciwnika czy rywala doprowadzają nas do celu. Aby toczyć taką grę musimy mieć silne i sprawne narzędzie. Dlatego konieczny jest obecnie nie tylko przyspieszony rozwój Konfederacji, ale zbudowanie wokół KPN większego Obozu Niepodległościowego, a jeszcze szerzej - Demokratycznego Sojuszu wszystkich ugrupowań, dostrzegających konieczność przełomu. To da nam siłę. Sprawność zapewnia zaufanie do przywódców i elastyczność organizacyjną i polityczną całej struktury; względy taktyczne wymagają nieraz zachowania istotnych przesłanek jakiegoś działania w całkowitej tajemnicy, a skomplikowana gra obejmuje również zaskakujące i całkowicie niezrozumiałe posunięcia, które trzeba wykonywać bez wahania.

Polityka jako misja - to wypełnianie przyjętego na siebie obowiązku. Jest to oczywiście kategoria najważniejsza. Jeśli nie traktujemy naszego udziału w polityce jako realizacji przyjętej misji - popadamy w jałowe, szkodliwe politykierstwo.

Naszą misją jest doprowadzenie do niepodległej, demokratycznej i sprawiedliwej Rzeczypospolitej, a następnie do tego, aby najlepiej pozwalała ona realizować potrzeby i aspiracje obywateli i społeczeństwa. Ta misja określa granice naszego działania, oraz granice gry, jaką nam wolno prowadzić.



Dzisiaj nasza misja jest już bliska spełnienia. Po dziesięcioleciach cierpień, długich latach uporczywie ponawianych wysiłków, porażek i ofiar - nasza praca przyniosła widome rezultaty. Być może w ciągu najbliższych miesięcy Polska odzyska niepodległość, a Polacy - demokrację.

Najciemniej jest jednak przed świtem. Jakie dziś w Polsce zamieszanie pojęć, jakie niezrozumienie rzeczywistości, jak kurczowe trzymanie się nadziei, że może już wszystko uzyskaliśmy co możliwe - i nie potrzebne są dalsze wysiłki. Ile strachu i małoduszności. A równocześnie narastające konieczności, które wymagają jasnych i szybkich decyzji. Przymus historii, od którego nikt i nic nas nie uwolni.

Czas, który nadchodzi, będzie czasem ostatecznych rozstrzygnięć. U progu niepodległości nikomu nie wolno się cofnąć. Dobrze byłoby, aby Polacy przekroczyli ten próg świadomie, lecz jeśli nasze społeczeństwo jeszcze nie dojrzało do tego, trzeba to uczynić choćby nieświadomie. Jeśli przejdziemy - otworzymy sobie przyszłość. Jeśli nie - stracimy ją.

To jest największa alternatywa naszych dni.

*Warszawa, wrzesień-październik 1990 roku*